

aga  
kalicka

# Nephiśto

PRZAPRZYSIĘŻONY, DO PIEKŁA STRĄCONY, ONY  
PO KRES ZWIĄZANY PRZYSIĘGĄ

seria mano d'onore #2



## Wcześniej

Gruby, jutowy sznur, krępujący nadgarstki dziewczyny, obcierał, dogłębnie ranił jej delikatną skórę. Z każdym wykonywanym ruchem, chaotycznym szarpnięciem, uciskał coraz mocniej, potęgując odczuwany ból. Chciała krzyczeć, zamiast tego jedynie wiła się szaleńczo. Narastający strach przemieniał się w obezwładniające przerażenie, kiedy obserwowała poczynania człowieka, który z prędkością pędzącej strzały wtargnął do leśnej chaty. Sprawiał wrażenie podjudzanego przez samego diabła, gdy barwił wnętrze piekielną czerwienią. Skoncentrowany na celu, okrutny i srogi. Bezдушny. Bestia tak potężna, jakby w jej ciele skoncentrowana była siła dwóch dzikich drapieżników.

Z ust dziewczyny wydostało się przeciągłe, bojaźliwe jęknięcie, kiedy mężczyzna w końcu odwrócił głowę i przyłożył palce wskazujące do skroni. Na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech, niewspółgrający z bezwzględnością spojrzenia. Dostrzegła ją, wpatrując mu się intensywnie w oczy, tonąc w ich bezdennej czeluści. Mrocznej otchłani. Jej serce wybijało nieznany rytm, pulsując szaleńczo, gotowe rozerwać żebra, by tylko odzyskać wolność.

Cofnął się o krok, wpadając na stojący za nim stół, i gwałtownie potrząsnął głową. Nie był na to przygotowany. Nie przypuszczał, że krocząc po rozżarzonych węglach, czując swąd przypalanej skóry, znajdzie kawałek rozbitego, zgubionego przed laty lustra. Ruszył w stronę wyjścia. *Nieboskie stworzenie uchyliło bramy piekieł.*

Miała wrażenie, że znajduje się na skraju obłąkania, a nieokiełznana chęć wkroczenia do królestwa ciemności przejmując kontrolę nad wszystkimi zmysłami. Spojrzała w stronę otwartych na oścież drzwi, gdy poczuła na policzku delikatny podmuch wiatru. Mimowolnie przymknęła powieki, słuchając kojącego szelestu liści. „Mała, uciekaj. Gdziekolwiek. Najdalej”. Nie była pewna, czy to umysł płata jej figła, czy słowa wydostały się z ust człowieka unoszącego nonszalancko dłoń w geście pożegnania. Nie mógł jej tu zostawić. Nie mógł!

– Błagam! – zapiszczała. – Nie możesz wyjść!

Nie odwrócił się.

– Oddam wszystko, co mam! Nie wiesz, kim jestem! – Jej głos prześiąknięty był desperacją. – Ofiaruję ci, co tylko zechcesz. Przysięgam na moją duszę! Przysięgam! – Załkała zrezygnowana, nie wiedząc nawet, że nie musi się smucić. Nie mając pojęcia, że słowo klucz już padło. Taki był w końcu plan. Szatańska intencja.

Przyciskając zakrwawiony palec do czystej kartki, czuła, jakby ktoś uchylił przed nią wrota niebios. Patrzyła w oczy swojego anioła, a jego twarz była jak zwierciadło, w którym mogła się przejrzeć. Zadrżała, dostrzegając, że odbicie jest zniekształcone. Brakowało kawałka lustra. Rozejrzała się dookoła, szukając utraconego elementu, gdy na nadgarstkach zatrzasnęły się zimne, wytrącające ją ze stanu otumanienia, kajdanki.

– *Un alma hermosa*<sup>1</sup> – powiedział, wpatrując się z zafascynowaniem w jej oczy. Zobaczył w nich zapomnianą, strąconą do piekła część swojej duszy.

Im dłużej to robił, tym większej nabierał pewności, że jest taka jak on. Mimo że nie miała o tym pojęcia. Była w posiadaniu tego, co utracił. Piekielny handlarz zażądał „uczciwej” wymiany.

\*\*\*

Dusza Almy jest czysta jak źródłana woda. Tak krystaliczna, że często sama jej nie chce. Dusza Mephista jest mroczna jak przedsionek piekła. Tak okrutna, że nieraz sam nią gardzi.

Znajdując odłamek zgubionego, roztrzaskanego lustra można się skaleczyć. Składając je w całość, trzeba liczyć się z tym, że to, co się ujrzy, nie będzie piękne. Będzie prawdziwe.

Patrząc na swoje odbicie, można je pokochać na zawsze lub znienawidzić na wieki.

---

<sup>1</sup> *Un alma hermosa* (hiszp.) – piękna dusza.

# ROZDZIAŁ 1

## *Alma*

Obejmuję głowę rękami. Od kilku miesięcy mam wrażenie, że przytwierdzona jest do niej tykająca bomba albo dwie. Jedna skonstruowana przeze mnie, druga przez mających moją kondycję psychiczną za nic, palantów, monterów pieprzonych wind i innych dźwigów. Nad pierwszą całkowicie panuję. Autodestrukcja kontrolowana.

Ostatnie półrocze to przede wszystkim spektakularna metamorfoza naszej chaty. Zakład dla obłąkanych, nazywanych potocznie rodziną La Mantide, zamienia się w placówkę medyczną z jednym czubem na czele i nami, małymi, skaczącymi dookoła niego czubkami. A wszystko za sprawą bezkonkurencyjnego w swej zajebistości Efesta, który nawet nie wie, gdzie uderzyć, żeby załatwić sprawę raz, a porządnie.

Od rana do późnej nocy po domu rozchodzą się odgłosy wjeżdżającej i zjeżdżającej windy. Korzysta z niej nie tylko sparaliżowany od pasa w dół ojciec, ale też podekscytowane urządzeniem siostry. Ja lawiruję między „schodolazami gąsienicowymi”, przytwierdzonymi do wszystkich domowych schodów, modląc się o niewyjebanie i niepodzielenie losu naczelnego oszołoma. Dziś montują podnośniki sufitowe i wannowe, hałasując tak bardzo, że nie słyszę żadnej ze swoich dobrych myśli. Te złe mają za to mocne gardła, a ich donośny krzyk drąży dziurę w mózgu skuteczniej niż wiertniczy świder.

Najgłośniej wrzeszczy ten natręt, który rozgościł się w mojej głowie na dobre i tkwi w niej odkąd przekroczyłam próg leśnej chatki. Śmieje się ze mnie i za nic nie umiem go uciszyć. „Nie potrafi ocalić siebie, a zabiera się za ratowanie małych kotków. Naiwna idiotka. Nie zatykać uszu, może to durnowate dobro w końcu ci nimi wyjdzie. Wszczep sobie w pośladki tytanowe płytki, nie będzie bolało, gdy ktoś znów skopie twoją łatwowierną dupę! I przestań marzyć o zapierającej dech w piersiach miłości. To. Się. Nie. Wydarzy. Nadajesz się tylko do szorowania plecami kabin

w klubowych kiblach. Zresztą na tym polu też PORAŻKA”.

Naciągam kołdrę, zakrywając się po czubek głowy i czekam. Cierpliwie wyczekuję tego, co nadejdzie, plonów, owoców umysłu. Gdy zaciśkam dłonie na materiale, a palce stóp się podkurczają, wiem już, że dziś moim przeciwnikiem będzie odrętwienie. Reakcje mojego ciała na destabilizujące myśli są dwojakie. Sama nie wiem, jakie ich następstwo wolę bardziej. W tym przypadku nie czuję nic oprócz sztywności ciała, napięcia mięśni. W takim stanie jedyne, co odczuwam, to obojętność. Tak, jakby moja dusza na moment wydostała się ze swojej skorupy, stanęła obok i dosłownie na moich oczach zaczęła się rozpadać. Nie lubię tego uczucia, dlatego zadaję sobie ból.

*Robię to, by czuć ból.*

Ten fizyczny daje mi poczucie istnienia, a chcę żyć i pragnę odczuwać. Problem pojawia się też w drugim przypadku, gdy wpadam w emocjonalny wir. Wówczas nie potrafię leżeć spokojnie. Puls przyspiesza, w głowie nie ma ani jednej czystej myśli, której mogłabym się chwycić. Są za to niemające ujścia napięcie i ogromny dyskomfort. Ciało jest wtedy jak arena, na której rozgrywają się wewnętrzne konflikty. Dlatego zadaję sobie ból.

*Robię to, by nie czuć bólu.*

W tej krótkiej chwili, kiedy wyrządzam sobie krzywdę, świat nabiera kolorów. Od pięt do czubka głowy przepełnia mnie euforia. To moment, w którym każda zła myśl, poczucie niesprawiedliwości, całe pieprzone zło i naiwne dobro zostają uwolnione. Ulatują przez niewielkie nacięcie, wypływają z rany jak trucizna. Gdy ekstaza mija, głos zabierają wyrzuty sumienia. Chcąc je uciszyć, muszę dać im wolność. Nie mogę ich więzić. Jestem dobra. Wtedy znów się tnę. To zamknięte koło. Być może mogłabym przestać, tylko po co? Dla kogo?

Wyciągam rękę spod kołdry i otwieram szufladę. Sunę opuszkami po dnie, na ślepo przerzucając znajdujące się w niej drobiazgi, do czasu, aż wyczuwam rzecz, której szukam. Szczelniej otulam się kołdrą, lecz pomimo tego, że chowam się jak żółw w skorupie, nie jest przytulnie, ani miło. Nie odczuwam bezpieczeństwa. Nic. Zero. Kompletna pustka. Otwieram agrafkę i wbijam ją w kciuk, aż nie wyczuję oporu. Ostra część ociera o paliczek, a przez ciało przechodzą dreszcze. To bardzo boli. Po mału wysuwam zaostrzony drucik. Palec pulsuje, gdy na opuszkach pojawia się krew. Odrzucam przykrycie na bok i idę do łazienki. Przemywam

ranę wodą utlenioną. Czerwień zamienia się w róż, a uczucie odrętwienia w pragnienie. Zwyczajną chęć życia.

Słyszę pukanie. Opłukuję w pośpiechu umywalkę, przyklejam plaster i podchodzę do drzwi. Staram się nie zapominać o ich zamykaniu, bo pełnosprawny czy nie, świr zawsze pozostaje świrem. To paradoks, ale ojciec zrobił się jeszcze bardziej nieprzewidywalny. Być może zawsze taki był, ale gdy mieszkała z nami Etna, większość frustracji wyładowywał właśnie na niej. Teraz przemieszcza się korytarzami, krzycząc: „Zapoluję na was! Nie znacie dnia ani godziny!”. A jego śmiech, zabarwiony nutą czegoś na wskroś niepokojącego, odbija się echem od ścian. Wierzę mu. Pochowałyśmy z siostrami bronie znalezione w gabinecie, a kiedy się zorientował, jedynie postukał się po głowie i zza paska wyciągnął rewolwer. „Durne gęsi. Głupotę i naiwność macie w genach. Po matce”. Nie zamierzam oponować. Coś w tym jest. I wiem, że może nadejść dzień, gdy powstrzeła nas jak te gęsi, do których jesteśmy przyrównywane. Zwłaszcza że nasza pozycja w organizacji jest niepewna, spada na łeb na szyję, a ojcu kończą się karty. Czasem odnoszę wrażenie, że wraz z nimi wyczerpuje się także jego cierpliwość. Chciałoby się powiedzieć: „tik-tak”, ale lepiej nie wywoływać wilka z lasu, diabła z piekła.

– Kto tam?! – wołam, kładąc dłoń na klamce.

– Mama. Otwórz.

Uchyłam lekko drzwi, żeby przekonać się, czy na pewno jest sama. Wyobrażnia tak, jak natrętne myśli, podsuwa różne scenariusze. Mama przekracza próg i wiesza na skrzydle szafy bladuróżową, zwiewną sukienkę. Kieckę z wycięciem na plecach!

– Co to jest? – pytam z niedowierzaniem. – Mówiłam, że chcę inny model. – Biorę materiał w palce.

Etna wychodzi jutro za mąż. Aż mną telepie, gdy pomyślę, że muszę trzymać fason, żeby nie zepsuć jej tego ważnego dnia. Chociaż nie wiem, czy to już nie nastąpiło. Notoryczne odmawianie i wykręcanie się od pomocy w organizacji wesela nie stawia mnie w najlepszym świetle. Na pewno nie zdobędę tytułu siostry roku, ale nie jestem zachłanna. Blask pucharu naiwniaczki dekady wystarczająco oślepia.

– Sukienka – odpowiada.

*Serio?*

– Wszystkie macie takie same. Etna prosiła... – Nie jest dane jej dokończyć.

– A ja prosiłam o inny krój! Zapomniałyście już, że mam na plecach TO COŚ?!

– Niby co? Masz na myśli ten ślad sprzed niemal roku? Córeczko – zniża głos – to była płytka rana. Teraz na pewno jest już ledwo widoczna. Gwarantuję, że nikt nawet nie zauważy – zapewnia, a mnie robi się gorąco. – Pokaż, ocenię. – Uśmiecha się ciepło i chwytając mnie za łokieć.

– Nie trzeba, masz rację. – Wyswobadzam się z uścisku i podchodzę do okna. Wyglądam przez nie. – Zaraz przyjedzie po mnie Ivo, więc jakbyś mogła... – Staram się grzecznie zasugerować, żeby już wyszła, ale nie rusza się z miejsca. – Idź stąd.

– Jutro będzie wspinały dzień. Jestem taka szczęśliwa, że Etna znalazła drugą połówkę.

Dawno nie widziałam jej takiej podekscytowanej. Szczerze, to chyba nigdy.

– Nie do końca ona znalazła – poprawiam ją. – No, ale mniejsza o większość. – Macham ręką w geście rezygnacji. – W każdym razie hip, hip, hurra. Umowa dotrzymana. Będą z tego dzieci – ironizuję.

– Ta drwina słyszalna w twoim głosie jest zbędna. Nie wiem, co się ostatnio z tobą dzieje. – Przygląda mi się badawczo.

– A od kiedy cię to obchodzi?

– Od zawsze. – Robi krok w moją stronę. – Tylko czasem, zazwyczaj, sama nie mam już do tego wszystkiego siły – przyznaje, zakładając włosy za ucho. – I nie za bardzo wiem, jak z tobą rozmawiać, bo bez względu na to, co powiem, zawsze atakujesz.

– A ty, bez względu na to, co powiem, zawsze się wycofujesz! – Przerzucam ubrania w szafie, poszukując swetra. – Czasem trzeba kogoś przycisnąć i nim potrząsnąć, ale co ty tam wiesz. – Drżą mi ręce. Nienawidzę tego. – Każdy odpuszcza i nikt nie chce o mnie zawałczyć! Nikt nie widzi MNIE!

– Widzę cię.

Kładzie rękę na moim ramieniu, ale ją strącam. Czuję dudniący w uszach puls, krew szalejącą w żyłach i nadciągającą falę wściekłości, która zaraz zaleje nas wszystkich.

– Nieprawda! Patrzysz, ale nie widzisz! – Zaciskam pięści. – Nawet nie starasz się dostrzec tego, co siedzi w środku! – Uderzam pięścią w mostek, zdecydowanie zbyt mocno. – Co mam zrobić?! Wypruć sobie flaki i podać ci je na tacy, żebyś coś dojrzała?! Jezu, wyjdź już stąd. – Otwieram

drzwi i próbuję ją wypchnąć, ale stawia opór. – Rusz się albo coś ci zrobię – sapię – i sobie. Zabiję się – spazmuję.

– Co ty wygadujesz?! – Zapiera się piętami, ale wściekłość to potężna siła. – Wezwę lekarza. Da ci coś na uspokojenie. Już dobrze. Uspokój się. Tylko spokojnie. – Odwraca się i siłuje ze mną, podczas gdy wystarczyłoby mnie tylko przytulić. Drży każdy mój organ, serce obja się o żebra. Ona mi nie pomoże. Nie ma na to szans.

– Przestań tak mówić!

W korytarzu pojawia się Nino. Podbiega do nas i rozdziela, klnąc pod nosem.

– Porozmawiamy o tym po weselu. – Mama odgarnia włosy z czoła. – Nie zniszcz siostrze ślubu. Ona zasługuje na szczęście.

– Wolałabym teraz wyjaśnić – proponuję płaczącym głosem. – Bo inaczej będzie mnie to gryzło. – Patrzę na Nina. Jest mi głupio, że widzi mnie w takim stanie. – Nie chciałam tak powiedzieć. Przepraszam.

– A ja nie chciałam tego usłyszeć. – Kręci głowę z rezygnacją. – Żadna matka nie chce usłyszeć, że dziecko coś jej zrobi.

– Przepraszam. I za to drugie również. – Nabieram powietrza. – Nie zrobiłabym wam tego, siostrze i tobie. No, no... – zacinam się z nerwów – bo ja was kocham.

– Czyli? Jakie drugie?

Zatraskuję drzwi przed jej nosem i opieram się o nie plecami. Sunę w dół, niżej, coraz niżej. Nie tylko nikt mnie nie widzi, ale też nie słucha. I mam tego dość. Tak samo, jak swojej niestabilności. Czasem wydaje mi się, że w moim ciele mieszkają dwie osoby i sama nie wiem, której strony osobowości nienawidzę bardziej. Czy tej nadwrażliwej, łkającej: „Bo ja was kocham”, czy suki wrzeszczącej: „Idź stąd!”. Moje plecy podrygują, gdy ktoś uderza w drzwi.

– Co?! – wrzeszczę.

– Ivo przyjechał, czeka przed bramą – odzywa się Nino. – To! – dodaje, po czym jeszcze raz objam się o drzwi, bo najpewniej w nie kopnął.

To dom wariatów. Nie mam wątpliwości. Do tego ten cały Nino, sam już chyba niewiedzący, gdzie jego miejsce. Krąży między naszą chatą a rezydencją Selvaggiów pod pretekstem pomocy w organizacji ślubu, ale każdy głupi by zauważył, że on po prostu nie potrafi odciąć się od Etny. „Na świecie jest tylko jedna osoba, za którą jestem odpowiedzialny. Ty nią nie jesteś”. Słowa, jakie wypowiedział w dniu urodzin Efesta, obi-

jają się o ściany mojej czaszki jak piłeczka kauczkowa. Nie zdziwiłam się, słysząc je, bo nigdy nie byłam dla nikogo wystarczająco ważna. Siostro od zawsze kombinowała, uciekała i łamała narzucane zasady. Ja nie muszę robić żadnej z tych rzeczy. Nie, bo nikt niczego ode mnie nie oczekuje, nie wymaga. Mam ochotę wyjść z domu, wychodzę. Chcę się upić, szlając po najpodlejszych zakątkach Sycylii, pociąć się, wciągać białe kreski dopóki z nosa nie pójdzie farba, MOGE! Brak ograniczeń, podczas gdy ja ich potrzebuję. Muszę je mieć, widzieć przed sobą wysokie ogrodzenie, granicę nie do przeskoczenia. Tymczasem żadna bariera nie oddziela mnie od przepaści, więc lecę, więc spadam. Gdyby ktoś zadał sobie trud, zbudował dla mnie mur, oznaczałoby to, że jestem ważna, cenna, że komuś zależy. Okazuje się jednak, że niektóre marzenia są trudne do spełnienia. Prędzej piekło zamarznie, niż złapie mnie za rękę ktoś na tyle śmiały, by podjąć ryzyko i spróbować ochronić mnie przed samą sobą.

Wychodzę z domu, nie mówiąc, kiedy wrócę i dokąd idę. Nikt o to zresztą nie pyta. Zajmuję fotel pasażera, a wyraźnie zniecierpliwiony Ivo bębni palcami o kierownicę.

– Przepraszam, ale dłużej się nie dało? Płakałaś? – Wyłapuje moje spojrzenie. – Nie martw się. Zobacz, Etna też początkowo nie była zadowolona. A teraz ona jest, a wszyscy inni nie. No, może poza Efestem – nawija, lecz zupełnie nie wiem, o co mu chodzi. – Mieszkanie z nią pod jednym dachem to koszmar. Wszędzie wtyka nos i generuje problemy tylko po to, żeby potem chwalić się, że je rozwiązała. Kłopoty, które sama stworzyła. Wyczuwasz ten paradoks?

Włącza radio.

– Ivo, o czym ty mówisz?

– Yyy. – Drapie się nerwowo po czole. – W sumie to nie wiem. – Jest wyraźnie zmieszany. – To dlaczego płakałaś?

– Z wielu powodów – przebąkuję i doznaję olśnienia. – A, bo ty myślałaś, że z powodu tego rzekomo podpisanego – robię cudzysłów w powietrzu – papierka? Że niby rozpaczam, bo jakiś leśny człowiek może się po mnie zgłosić? – Śmieję się gorzko.

– Mephisto.

– Tak ma na imię? Jak upadły anioł?

– Jak diabeł. Nazywajmy ludzi po imieniu – stwierdza rzeczowo.

– Jakoś, gdy wcześniej cię o niego pytałam, to nie pamiętałeś. – Przewracam oczami. – Etnie też nie udało się dowiedzieć, kim on jest. Zresztą

to już nieistotne. Było, minęło. – Macham ręką, a Ivo tak głośno przełyka ślinę, że słyszę ten odgłos, mimo grającego radia.

– Masz te cytaty? – Zmienia temat. Nawet i lepiej. Nie ma co tego roztrząsać, ale teraz przynajmniej mogę dopasować imię do twarzy. Nie, żebym często ją sobie wizualizowała. Robię to rzadko. Czasem. Nie-ważne.

Wyjmuję z torebki siatkę wypełnioną karteczkami, na których pisałam różne sentencje. To mój wkład w przygotowanie wesela siostry.

– Pod każdy talerz jedna – instruuję. – Nie można ich czytać wcześniej i dobierać do danej osoby. To ma być jak wróżba. Wiesz, taka niespodzianka. Nikt nie ma pojęcia, jaką miłosną mądrość znajdzie pod swoim nakryciem.

Ivo wykrzywia twarz w grymasie, gdy przejmuję ode mnie woreczek.

– Mam nadzieję, że nie napisałaś na żadnej: „Co się gapisz, palancie?” lub „Miłość nie istnieje” – burczy.

– Nie. – Parskam śmiechem.

Ivo jest moim najlepszym kolegą. Proponowałam mu nawet małżeństwo, ale powiedział, że nie chce się poparzyć. Cokolwiek to znaczy. W skrócie, dał mi kosza.

– Etna kazała mi doręczyć jakąś szmatę dla ciebie. – Sięga do tyłu. – Twoja stara zapomniała zabrać. – Kładzie pudełko na moich kolanach. Otwieram je i wyciągam biały sweterek z różowymi guzikami w kształcie kwiatków. Przykładam go do policzka.

– Ale miękki. – Zachwycam się i podsuwam w jego stronę, żeby też dotknął, ale odpycha moją rękę. – I te guziki są super. No co? – pytam, bo ma nietęgą minę.

– Jakoś cię w nim nie widzę – rzuca krótko. – Nie pasuje po prostu. To znaczy, nie zrozum mnie źle. To znaczy trochę cię już znam – mota się. – Brzydki – wypala.

– Sam jesteś brzydki. – Patrzę na niego z wyrzutem, a on wzrusza ramionami. – Jest delikatny i subtelny.

– No właśnie. – Wzdycha. – Przypomnij sobie, jak zdobyłaś zaświadczenie od ginekologa.

– Przypomnij sobie, że ogarnęła mnie czarna rozpacz – odpowiadam w takim samym tonie.

– Powiedziałaś Etnie, że to magia mojego nazwiska.

– Ale ona dużo papla. Co za palantka!

- A to była magia spluwy przyciśniętej do skroni doktorka.
- To szczegół, Ivo.
- Diabeł tkwi w szczegółach.
- Zawieź mnie do Francesca. – Tym razem to ja chcę zmienić temat.
- Jesteśmy umówieni na pierwszy seks.

Przez chwilę wpatrujemy się w siebie i wybuchamy śmiechem.

- O tym właśnie mówiłem – jęczy. – Alma. Delikatna i subtelna.

Wpisuję w nawigację adres, mimo że Francesco mieszka kilka przecznic dalej. Poznałam go w księgarni, w której pracuje. Gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały, zachwiał się na drabinie, a z jego nosa niemal spadły okulary. To było słodkie i rozczulające.

– Jutro go poznasz, bo będzie moją osobą towarzyszącą. Jakbyś był ciekawy, co mnie w nim urzekło, to mogę wymienić. A więc tak – naberam powietrza – jest bardzo miły i spokojny. Spędza wolny czas kreatywnie, czyli robi coś z niczego. Na przykład przedwcześniej zrobił dla mnie różę z papieru. Oto ona. – Szperam w torebce i wydaję małe, wygniecione dzieło. – Nie jest wulgarny. Jak się zezłości, ale to rzadko, mówi: „Kurczę blade”.

– Brzmi jak ideał. – Ivo zaciska usta, ale mimo to nie udaje mu się pohamować śmiechu. – Przechyliła głowę. – Wkręcasz mnie?

- Nie, dlaczego?

– Jakoś cię z nim nie widzę. – Wzrusza ramionami i znów się śmieje.

- Co cię tak śmieszy?

– Jezu, nic. Mam nadzieję, że gumka, którą założy na fiuta, nie będzie ręcznej roboty czy tam z jakiegoś recyklingu, kurwa. – Pociera twarz. – To znaczy, kurczę blade, przepraszam.

– To tu, o! Zatrzymaj się! – Uderzam w deskę rozdzielczą, a Ivo hamuje z piskiem opon. – Jeśli chcesz, to możesz na mnie poczekać – proponuję. – Nie wiem – stukam palcem w brodę – godzinę? Jak myślisz, ile nam to zajmie, skoro on też jeszcze tego nie robił?

– Przepraszam, ale dziękuję. Nie jestem alfonsem. Mam tu stać i trzymać kciuki? To nie w moim stylu. – Ścisną nasadę nosa. – Gdy wrócisz, na bank będzie niezręcznie. To jakieś popierdolone.

Wzruszam ramionami w geście „nie to nie” i sięgam do klamki. Staję przed furtką obrosniętą różowymi oleandrami i naciskam przycisk domofonu. Po chwili drzwi domu są już otwarte, a po schodach, potykając się o własne nogi, zbiega Francesco. Jego nieporadność jest rozczulająca.

Kiedy wpuszcza mnie na teren posesji, Ivo odjeżdża.

– Hej – mówię, gdy ujmuję moją dłoń i energicznie nią potrząsa.

Rozglądam się dookoła. W głębi ogrodu ustawiona jest trampolina. W tej chwili użytkowana przez młodszą siostrę Francesca. Z każdym wykonywanym przez nią skokiem urządzenie coraz bardziej trzeszczy i skrzypi. Jest to tak denerwujący dźwięk, że nie słyszę własnych myśli. Francesco podąża za moim spojrzeniem.

– Ona potrafi tak skakać cały dzień. Co chcesz robić?

– No to, na co się umówiliśmy, tak? – Zerkam na zegarek. – Chcę wrócić do domu zanim się ściemni, więc tak jakby do dzieła?

Francesco poprawia okulary.

– Myślałem, że najpierw zagramy w jakąś grę, co ty na to? Planszową lub na konsoli. Mogę też poczytać ci jakieś wiersze. – Porusza brwiami, a ja unoszę swoje.

– Możemy iść po prostu do ciebie? – Zmierzam w stronę drzwi wejściowych, a Francesco podąża za mną. Po chwili chwytą mnie za łokieć i zatrzymuje. Obdarzam go pytającym spojrzeniem. Na jego twarzy perlą się kropelki potu, a okulary ześlizgują się z nosa. – O co chodzi, Francesco?

– Tylko się nie śmieję, dobra? Wiesz, w pokoju. Ja wszystko przygotowałem. – Przeciera czoło przedramieniem. – Trochę się denerwuję. – Przesłupuje z nogi na nogę, aż w końcu mnie wymija i wchodzi do środka. Idę za nim. – Tylko cicho. – Odwraca się i kładzie palec na ustach. – Rodzice oglądają „Jumanji”.

Idę na paluszkach po schodach prowadzących na piętro. Wlepiam wzrok w tyłek Francesca, próbując właściwie ukierunkować myśli. Mówiąc wprost, zastanawiam się, jak prezentuje się bez spodni i czy jego pośladki są takie twarde, na jakie wyglądają. Dźgam go palcem, żeby sprawdzić, a on podskakuje i piszczy.

– Co robisz? – pyta ledwo słyszalnie i odwraca głowę.

– Zaczepiam cię. – Śmieję się cicho.

– To znaczy? – pyta, a gdy stajemy przed drzwiami jego pokoju, uchyla je i wchodzi do środka. – Zobacz. – Wykonuje gest ręką, więc patrzę na łóżko. – Robi wrażenie?

Pewnie, że tak. Na całej powierzchni materaca rozłożony jest długi łańcuch. Są to połączone ze sobą małe, papierowe kółka.

– To jakby narzuta lub prześcieradło z papieru, czy co dokładnie

miałeś na myśli, tworząc to? – Zakładam włosy za ucho.

– Bingo! Prześcieradło. Sklejałem te kółeczka osiem godzin. – Rozpiera go duma. – To nie wszystko, spójrz na lampę.

Unoszę głowę i widzę wykonaną z papieru gwiazdę.

– Uchylę okno. Gdy zawieje wiatr, to będzie się poruszać – kontynuuje podekscytowany Francesco, zacierając ręce.

– Bardzo ładna. – Uśmiecham się. – Mam nadzieję, że za niedługo zobaczę przed oczami więcej gwiazd, a nie tylko jedną. – Mrugam do niego sugestywnie.

– Nie. Zrobiłem tylko jedną. I tak dużo czasu na to straciłem.

– Miałam na myśli kosmiczny, międzygalaktyczny orgazm. – Zaplatam dłonie na jego karku. – To wszystko, co zrobiłeś, jest bardzo miłe i romantyczne.

– Wiem.

Przybliżam się, licząc, że zacznie mnie dotykać lub pocałuje, ale nic z tego. Wyswobadza się z moich objęć i podchodzi do okna, żeby je uchylić. Kiedy to robi, słyszę odgłos skrzypienia trampoliny.

– Teraz gwiazda będzie się poruszać – stwierdza.

Ściągam sweter i koszulkę. Francesco bacznie mi się przygląda. Zsuwam z nóg spodnie. Skłamałabym, mówiąc, że nie podoba mi się, gdy mnie obserwuje. Stoję przed nim w samej bieliźnie. Unosi rękę.

– Mogę mieć prośbę?

– Pewnie – odpowiadam i uśmiecham się lekko, chcąc mu dodać śmiałości. To chyba działa, bo też ściąga spodnie, podskakując zabawnie to na jednej, to na drugiej nodze.

– Możesz nie pozbywać się biustonosza?

Patrzę na niego pytająco, licząc, że rozwinie wątek.

– Piersi będą wydawać się mniejsze, takie wolę. Ogólnie twoje są spore. Myślałem, że małe – mota się – bo pod swetrem nie było widać – tłumaczy.

– W porządku.

Kładę się na plecach. Wyjątkowe papierowe prześcieradło szeleści i jestem pewna, że nie tylko zdążyłam już pognieść, ale i potargać kilka kółek. Przez chwilę nie słyszałam odgłosu skrzypienia dobiegającego z dworu. Skupiłam uwagę na Francescu, ale teraz, gdy leżę i czekam na to, co nastąpi, dźwięk ten wydaje się wyjątkowo natrętny. Nabieram powietrza. Przyjemny wiaterek owiewa policzki, nad głową dynda zro-

biona z myślą o mnie gwiazda, łóżko jest miękkie, a Francesco w gruncie rzeczy sympatyczny. Czekam, aż w końcu się rozbierze. Walczę ze sobą, by nie zamknąć oczu. Gdybym to zrobiła, przeniosłabym się do klubowego kibla. Poczulałabym na twarzy pożądające, całujące z pasją usta nieodpowiedniego mężczyzny i ten cudowny, wrapiający ciało w drzenie, kurewsko palący ogień. „Nie przymykaj powiek. Jesteś delikatna i subtelna. I naiwna”. Wzdrygam się i przygryzam wargi.

– Co tak długo? – pytam, chcąc go pospieszyć. Uciec przed falą wzbierających myśli.

– Pytałem, czy będziemy używać prezerwatyw, ale chyba się zamyśliłaś. – Potrząsa trzymanym w dłoni pudełkiem.

– Biorę pigułki, ale i tak założ gumkę. I najlepiej wyjdź ze mnie, gdy poczujesz, że dochodzisz. Tak zrób.

Zdejmuje koszulkę i wskazuje na łóżko. Jego ramiona są chudsze od moich, a klatka piersiowa lekko zapadnięta. Nie jest moim wymarzoną mężczyzną, ale jest odpowiedni. Kładzie się obok i opiera głowę na zgiętej ręce. Drugą głaska mnie po włosach. Trampolina skrzypi. Gwiazda porusza się w lewo, w prawo jak wahadełko hipnotyzera. Odwracam się twarzą do Francesca i napieram na jego usta. Całuje delikatnie, ledwo wyciągając język. Co jakiś czas całkowicie go zabiera i obdarza mnie słodkimi całusami. Odślaniam szyję, żeby zasugerować, gdzie najbardziej chciałabym, żeby pocałował. Podoba mi się, że bez problemu odczytuje ten znak, lecz odgłos pojedynczych cmoknięć jest równie irytujący i rozpraszaający, jak trzeszczenie tej przeklętej trampoliny. Powstrzymuję się, żeby nie jęknąć z frustracji, z narastającego zdenerwowania.

– Mógłbyś całować trochę mocniej? Polizać, nawet ugryźć, dobra?

Odsuwa się lekko i przeciera język wierzchem dłoni.

– Niezbyt, bo spryskałaś szyję perfumami i ma taki dziwny posmak, więc nie.

– W porządku. To całujemy się w usta.

Łapię go za kark i przysuwam bliżej, żeby ponownie złączyć nasze języki. Francesco kładzie rękę na moim brzuchu. Poglębiam pocałunek, gdy zaczyna zataczać kółka na skórze. Wierci palcem w moim pępku, a to zamiast podniecać, tylko irytuje. Mam zamiar mu o tym powiedzieć, ale w końcu wsuwa kciuk za gumkę moich majtek. Jęczę przeciągle.

– Ciszej, bo w domu są rodzice. – Zabiera dłoń i schodzi z materaca, by po chwili wrócić z kołdrą, którą na mnie narzuca. – Zapomniałem.

Tak będzie milej i trochę stłumi głos, jakbyś jeszcze chciała wydać jakiś dźwięk.

Nakrywa nas i wraca do przerwanej czynności. Zsuwam majtki i rozszerzam nogi, żeby ułatwić mu dostęp. Przesuwa palcem po moim wzgórku, w górę i w dół. Nie mam pojęcia, jaki jest cel tego działania.

– Co robisz? – pytam wprost. – To na mnie nie działa. Dotknij niżej, dobra?

Nie odpowiada, ale przynajmniej kładzie palce na mojej łechtaczce. Postukuje nimi, jakby grał na pianinie.

– Pod koldrą od razu przyjemniej – mówi zadowolony.

– Na pewno goręcej – stwierdzam. – Poślin palce, Francesco. Będzie mi lepiej.

– Co? Nie zamierzam tego robić. Zaraz będzie dobrze. – Ślinię swoje i dotykam się, napotykając jego dłoń. Od razu ją zabiera. – O rety, ty serio to zrobiłaś, fuj.

– Ciszej, bo twoi rodzice usłyszą. Dotykaj.

Mija chwila zanim znów decyduje się na pieszczoty. Jego gesty są chaotyczne. Próbuje zsynchronizować je z ruchem moich bioder, ale to niewykonalne. Zsuwam z głowy koldrę i patrzę w sufit. Nic z tego nie będzie. Francesco też się wyswobadza, nabiera powietrza i mówi:

– Jak chcesz, to poślin jeszcze, bo już się starło.

Wzdycham. Trampolina skrzypi. Gwiazda się kołysze. *Zamknij oczy.*

– Czekaj, zaraz zrobię się mokra. – Przysmykam powieki.

To nie jest trudne. Myślałam jednak, że da się inaczej, że nie muszę uciekać w świat wyobraźni, żeby poczuć przyjemne mrowienie w podbrzuszu i przypawić serce o szybsze bicie. Sądziłam, że nie muszę fantazjować o dzikiej sile, nieposkromionej męskości, na myśl o której zapiera dech w piersiach. Myliłam się. Jestem naznaczona. Nie tylko dosłownymi, widocznymi gołym okiem, dającymi wyczuć się pod palcami nacięciami na plecach. Gdy po raz pierwszy przekroczyłam próg leśnej chaty, trzymając pod pachą małego, puchatego kota, wiedziałam już, że zostałam strącona do piekła...

Czas mijał, nadzieja wzięła nogi za pas, a myśli były czarne jak smoła. Wtedy pojawił się on. Niespodziewanie, gdy brudne, gnębiące mnie paluchy wyznaczały sobie trasę, wędrowały, błąkały się po drżących udach, jakby szukając najszybszej drogi prowadzącej do raju. Nigdy nie zapomnę pełnego bezwzględności głosu, mówiącego: „Zbłądziłeś”, świstu przeci-

nającej powietrze, pędzącej strzały. Nie pozbędę się wypalonego na mapie moich myśli śladu, bo nie da się go wyciąć żyłką. Mephisto. To on mnie naznaczył, a potem zniknął. Nie dałam mu nic, oprócz odcisku zakrwawionego palca, a spojrzał na mnie tak, jak nikt wcześniej. Tak, jakby zdobył, widział coś niezwykle cennego.

A przecież to byłam tylko ja.

Czasem wyobrażam sobie, że nie tylko mi się przygląda, ale też dotyka. Niemal czuję jego duże dłonie na biodrach i przyciśnięte do moich usta. I wtedy, mimo że obdarza mnie nieludzkim, zimnym spojrzeniem, jest mi gorąco.

– Francesco, już.

– To dobrze, bo zaczynałem się nudzić. – Ziewa. – Myślałem, że zasnąłś.

Ponownie kładzie palce na mojej lechtaczce i zaczyna ją ugniatać.

– Chcesz, żebym cię dotknęła? Mogę się o ciebie ocierać, czy coś takiego. Masz ochotę?

– Niezbyt. Czekaj, wezmę gumkę.

– Ale ja jeszcze nie odczułam atmosfery – mówię wprost. Francesco przypatruje mi się wnikliwie i kładzie rękę na moim udzie. – Może po prostu sama będę się dotykać, a ty będziesz szeptał mi do ucha podniecające słowa? – proponuję.

– Na przykład?

– No nie wiem... „Lubię patrzeć, jak się dotykasz” albo „Jesteś piękna i cudowna”. Zgoda?

– To porypane – odpowiada, więc zaciskam dłonie na papierowym prześcieradle. – Ale trzęsą ci się nogi – stwierdza.

– Wkurw mną trzęsie! – wrzeszczę i siadam na łóżku, odwracając się do niego tyłem. – Nic ci nie pasuje. To dopiero porypane! – Odchyłam kołdrę, żeby zlokalizować majtki, ale za nic nie mogę ich znaleźć. Zerkam na Francesca, bo milczy jak zaklęty. Nie dziwię się, skoro przyciska pięści do ust tak mocno, że aż zbieleły mu kostki. – A tobie co?

Wytrzeszcza oczy, gdy wskazuje na mnie drżącym palcem.

– Co ty masz na plecach? – wydusza, a ja czuję, że krew zaczyna mi szybciej krążyć w żyłach.

Kompletnie zapomniałam o nacięciach. Ściągnęłam bluzkę, dając ponieść się chwili, która i tak nie była tego warta. Nawet przy Etnie, będąc po ostrej imprezie, pamiętałam, żeby nie odkrywać tego, co ZA-

WSZE powinno być zakryte. Obrazu malowanego nie pędzłem, lecz ostrym przedmiotem. Każde pociągnięcie nim jest jak plaster na moje serce. A każde nowe nacięcie harata duszę coraz bardziej, coraz głębiej. Sprzeczność. Zamknięte koło.

– Wpadłam w żywopłot.

– Kurczę blade, ale to obrzydliwe. Po prostu fuj. – Krzywi się. – Aż mi się odbiło. – Zakrywa usta i kręci palcem ponagłająco. – Błagam, ubierz się.

– Właśnie to robię, jakbyś nie zauważył. – Trzęsą mi się ręce, gdy zapinam guzik w spodniach.

– Nie boisz się, że to ci nie zniknie? – pyta, przez co puls zaczyna dudnić mi w uszach, a myśli ulatują z głowy. – Współczuję, że wpadłaś w krzaki, ale oby znikło, bo teraz masz plecy jak monstrum.

Bum, bum, bum.

– Słyszysz, co mówię? – Macha dłonią przed moją twarzą. – O której mam być jutro na ślubie? Hej, słyszysz? No, kurczę blade! – Potrząsa moimi ramionami.

– Gdzie jest łazienka? Zamów mi taksówkę. Bądź... – Nabieram powietrza. – Bądź o trzynastą. Albo nie, jednak nie chcę z tobą iść. – Urywa mi się oddech. – Albo tak. Tak, bądź. To gdzie ten kibel?

Unosi brwi i poprawia okulary. Obdarza mnie pełnym niezrozumienia spojrzeniem i wcale mu się nie dziwię. Nie ma przecież pojęcia, że prawdziwy potwór czai się w ciemnych zakamarkach mojego umysłu i że właśnie, zupełnie nieświadomie, stał się jego muzą, inspiracją do stworzenia kolejnego krwawego dzieła. Ave, Francesco!

Zgarniam z podłogi resztę swoich rzeczy, w tym pudełko ze swetrem i wybiegam z pokoju. Otwieram drzwi mijanych po drodze pomieszczeń, aż w końcu znajduję łazienkę. Wrzucam torebkę do umywalki i przeczesuję jej zawartość zdominowana przez siłę, której nie potrafię się sprzeciwić. Dominująca energia i uległa ja. Gdzie ona jest, do cholery?! Musi gdzieś być. MUSI. Mogę zapomnieć zabrać telefon, ulubioną truskawkową pomadkę, ale nigdy, NIGDY nie zapominam żyletki! Wysypuję zawartość torebki na blat. Pieczenie w klatce piersiowej rozchodzi się po całym ciele jak zaraza. W końcu znajduję to, czego szukam, w bocznej kieszonce. Zamek zacina się, jakby świat chciał dać mi czas na podjęcie właściwej decyzji. „Masz plecy jak monstrum. Fuj. Po prostu obrzydliwe”. Tylko, że ja już ją podjęłam. Odpakowuję żyletkę dygoczącymi palcami

i odwracam się tyłem do lustra, unosząc koszulkę. Przyzwyczajona do widoku swoich pleców, nie dostrzegam tej obrzydliwości, o której mówił Francesco. Na tym płótnie jest jeszcze dużo wolnego miejsca. Przykładam ostrze do skóry. Zatapia się w niej głębiej niż zwykle, bo podskakuję w przestachu, słysząc pukanie.

– Co tak długo? Taksówka już przyjechała – ponagla Francesco.

– Dwie minuty! – odkrzykuję, przykładając do rany mokry papier, który błyskawicznie zmienia barwę.

Zasysam powietrze, pozwalając uldze wędrować po zakamarkach ciała i otulać umysł błogą przyjemnością. Mimo że czerwień uznawana jest za najbardziej energetyczny kolor, na mnie działa odprężająco. Widok krwi uspokaja. Wyrzucam pobrudzony papier, jednocześnie rozwijając z rolki kolejną warstwę, którą przyłożę do rany zanim wyjdę. Patrzę na swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Mam zaróżowione policzki, a oczy błyszczą, jakby gałki wypolerowane zostały ściereczką nasączoną endorfinami. Lubię ten stan szczęścia, wewnętrznej harmonii. Sposób pozwalający mi na jej osiągnięcie jest brudny i szczypie, ale innego nie znam.

Zbieram porozrzucane w pośpiechu rzeczy, w tym żyłtkę, którą owijam i chowam z powrotem do torebki. Pozbędę się jej w drodze powrotnej. Ścieram krew z podłogi i wsadzam bluzkę w spodnie, żeby uniknąć zgubienia prowizorycznego opatrunku. Pewna, że nie pozostawiłam żadnych śladów, wychodzę. Francesco stoi w korytarzu i nerwowo postukuje podeszwą buta o dywan.

– Już pewnie naliczyło kilka euro – oznajmia z wyrzutem, jakby to na nim spoczywał obowiązek zapłaty za mój przejazd. Wymijam go, chcąc już wyjść, ale łapie mnie za ramię. – Nie wyszło tak, jak planowaliśmy. Jesteś zła? Nie obraż się, ale trochę inaczej cię postrzegałem. Wydawałaś się, no, po prostu inna. I to jednak nie jest dobry pomysł, żeby jutro szedł z tobą na wesele twojej siostry.

– O nie, nie. – Dźgam go palcem tak mocno, że aż robi krok w tył. – Nie wystawisz mnie – syczę, a on poprawia okulary. Mam ochotę zmienić ich kształt. Niekoniecznie uprzednio ściągając je z jego nosa. – Radzę ci się pojawić. – Zaciskam usta.

Nie mam najmniejszej chęci na jego towarzystwo, ale nie o ochotę tu chodzi. Chcę wszystkim pokazać, że mam chłopaka, którego wybrałam sobie sama. Nikt nie musi wiedzieć, że grot strzały Erosa nie był dosta-

teczenie mocno nasączony miłosną trucizną. Nie zorientują się, że przyspieszony puls to nie wynik euforycznego zauroczenia, lecz konsekwencja wzmożonej chęci jebnięcia otwartą dłonią w czoło Francesca.

– Dobrze, kurczę blade, przyjdę, bo widzę, że ci zależy. – Przełyka głośno ślinę. Jestem pewna, że niedostatecznie zamaskowałam chęć dokonania mordy. – Ale potem już nie chcę się spotykać. Tak jakby zrywam z tobą – wydusza.

– Będę płakać nocą w poduszkę. Na razie!

Po jego minie wnoszę, że uznał to za ironię, podczas gdy ja naprawdę mam zamiar się rozryczeć. Na pewno jednak nie zrobię tego tutaj. Miękką poduszkę wydaje się wymarzonym miejscem.

Szybkim krokiem przemierzam ogród, zrywając po drodze kilka oleandrów, które planuję podarować Basimie. Jej imię oznacza „uśmiechnięta”, ale rzadko można zobaczyć uśmiech na jej pięknej twarzy. Pojutrze o tej porze będzie już w Tunezji, w swoim kraju, z rodziną, która na pewno za nią tęskni, a wtedy wszystko się zmieni. W końcu będzie szczęśliwa.

Trzymam dłoń na klamce, chcąc wsiąść do taksówki, ale cofam się, żeby zerwać również kilka kwiatów dla Zity. Na jej szczęściu też mi zależy. Chociaż nie jest osobą, która rozczuła się, widząc jakieś kolorowe badyle, na pewno będzie jej miło, że o niej pomyślałam. Od czasu gdy poznałyśmy się w katańskiej kawiarni, jesteśmy niemal nierozłączne. Zita ma niespożytą energię i potrafi znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Gdybym nie wiedziała, że pochodzi z szanowanej prawniczej rodziny, pomyślałabym, że jest córką ulicy. Udało się jej nawet uciec z radiowozu zanim gliniarz, który zgarnął nas z klubu, doprowadził ją pod drzwi domu. Urodzona w czepek, czy coś.

Wsiadam do auta.

– Dzień dobry – mówię, zajmując miejsce na tylnej kanapie. Taksówkarz odpowiada skinieniem głowy. – Proszę mnie zawieźć na teren starej przetwórci ryb. Tej niedaleko stacji Eni.

– O tej porze w takie miejsce? To chyba niezbyt bezpieczne. – Nasze spojrzenia krzyżują się w lusterku. – Mam córkę mniej więcej w twoim wieku i nie chciałbym, żeby kręciła się po terenach, gdzie diabeł mówi dobranoc.

– Rozumiem. Proszę jechać – ucinam temat. Mężczyzna kręci głową z dezaprobatą, ale w końcu rusza spod domu Francesca.

Prawdą jest, że lokalizacja magazynów nie zachęca do zapuszczania się w tamte rejony, ale dla mnie jest to zaletą, nie wadą. Ukrywanie kogoś przez kilka dni, nie wzbudzając przy tym niczych podejrzeń, nie jest łatwą sztuką. Może i umiejętność radzenia sobie z emocjami w moim przypadku kuleje, ale zdolnościom logistycznym nie mam nic do zarzucenia.

Mijamy stację benzynową i wjeżdżamy na tereny obrosnięte wysokimi chaszczami. Na pierwszy rzut oka widać, że natura rządzi tu twardą ręką. Szkielety budynków poowijane są bujnym bluszczem, gdzieś tam stoją pokryte smołą metalowe beczki i poplamione, nadszarpięte zębem czasu, samochodowe kanapy oraz fotele. Pozornie nie ma tu żywej duszy. W innych okolicznościach czułabym się nieswojo, a po moich plecach pełzałby dreszcz niepokoju, ale wiem, że ta nicość, jaką odczuwa się będąc tu, jest tylko złudzeniem. Na tyłach głównego budynku, w dawnym, po-  
każnych rozmiarów magazynie czekają na mnie Zita i Basima.

– Poczekać?

– Nie, nie, dziękuję. – Wyciągam z kieszeni wymięty banknot. – Reszty nie trzeba. Do widzenia i miłego wieczoru.

Wysiadam i czekam, aż kierowca odjedzie. Zanim wrzuci wsteczny, chwilę mi się przygląda. Czasem chciałabym potrafić czytać w cudzych myślach. Samochód znika z pola widzenia, więc idę w stronę magazynu. Po wykonaniu kilku kroków przyspieszam, bo mimo wszystko niewielki, ale jednak strach, siedzi mi na ramieniu. Próbuję uspokoić przyspieszony oddech, lecz udaje się to dopiero w momencie, gdy zauważam ciepłe światło padające przez niewielkie magazynowe okienko. Pukam pięć razy w blaszane drzwi, dając tym samym sygnał, że to ja.

– Możesz opuścić broń – zwracam się do Zity, przechodząc przez próg.

Nie jestem pewna, czy w ogóle zapamiętała, jak ją obsługiwać, mimo że Etna udzieliła nam wyczerpujących wskazówek. Ja wyniosłam z tej lekcji niewiele. Zwałam to na karb stresu, bo sprowadzenie Basimy w to miejsce było skomplikowaną akcją obarczoną dużym ryzykiem niepowodzenia. Uważam jednak, że było warto, a dobry uczynek zapracentuje. Dobro wraca. Na pewno nie od razu, bo odkąd dziewczyna się ocknęła i zauważyła, że jedną rękę ma przypiętą do żeliwnego kaloryfera, jest wściekła jak osa. Czasem wręcz odnoszę wrażenie, zapewne mylne, że denerwuje ją sam dźwięk mojego głosu. Najpewniej jest po prostu rozczarowana, bo nie udało mi się załatwić jej transportu do Tunezji szyb-

ciej. Ma takie prawo. Prawo do rozczarowania.

– W końcu jesteś. – Zita wzdycha z ulgą. – Mam już dość siedzenia tutaj. Z nią. – Wskazuje na śpiącą Basimę. – Nie można jej tu po prostu zostawić i tylko odwiedzać? – Przewraca oczami. – Przecież nasza obecność nic nie zmienia. Jeśli ktoś się tu dostanie, to po prostu zamiast jednego trupa będą dwa lub trzy...

– Nie można. Jakby się czuła, będąc tu sama i do tego przypięta?

– To ją odepnijmy. Ona na pewno mówiła ci, że chce popłynąć do domu i że ją przetrzymują w tym klubie?

– No raczej, przecież od tego się zaczęło. Nie możemy ściągnąć kajdanek, bo ma ochotę wrócić do ludzi, którzy wyrządzali jej krzywdę, a ja nie mogę do tego dopuścić. Uzależnili ją od siebie. Wczoraj już z nią rozmawiałam na ten temat, tłumaczyłam – mówię, ale na twarzy Zity maluje się niepewność. – Nie martw się. Będzie dobrze – zapewniam, ale wciąż nie wydaje się przekonana. – Nie rozumiesz, że los tej dziewczyny jest w naszych rękach i że ratujemy właśnie jedno istnienie? Czy to nie jest wspaniałe?

– Jakoś nie wygląda na ofiarę. To znaczy nie wyglądała – poprawia się – dopóki Etna jej nie przywaliła.

– Musiała. – Rozkładałam bezradnie ręce. – Zobacz, jaka ona jest duża. Nie mogliśmy sobie z nią poradzić.

Zita śmieje się cicho. To do niej niepodobne, bo zazwyczaj rzy jak koń. Domyślam się, że nie chce obudzić Basimy. Kiedy śpi, wszystko wydaje się mniej skomplikowane. Przyjaciółka siada na materacu i poklepuje miejsce obok. Odchyła się, żeby dosięgnąć siatkę, a gdy jej się udaje, słychać brzdęk szkła. Wsuwa ją między nogi i wyciąga dwa piwa truskawkowe.

– Mam tego więcej. – Uśmiecha się szeroko. – I dwa wina. Byłyby trzy, ale Basima jedno wypila.

Siadam obok niej, gdy sprawnie, jednym ruchem pozbywa się kapsla, podważając go zapalniczką.

– Wypiję tylko jedno piwo. – Unoszę ostrzegawczo palec. – Jutro muszę być w formie. Spróbuję jak najszybciej zerwać się z wesela i cię zmienić. Etna zrozumie. A pojutrze z samego rana przyjadą po Basimę goście z portu w Syrakuzach. Miło z ich strony, że się pofatygują, co nie? Kilka godzin w podróży, mało komu by się chciało.

– Za taką kasę przyjechałabym po nią nawet na hulajnodze. – Zita

śmieje się, biorąc łyk piwa. – Chcesz kreskę? – Wyjmuje z kieszeni woreczek strunowy wypełniony kokainą.

– Nie, ostatnio myślałam, że umrę.

– Ale to nie ten towar, do którego dodałam to białe ciulstwo. Tamten już sprzedałam przed uniwersytetem. – Wkłada rękę do kieszeni i wyjmuję kilka banknotów. – Miałaś dobry pomysł, żeby wymieszać kokę z wypełniaczami. Czysty zysk. – Szczerzy się. – Ja bym na to nie wpadła, ale nie jestem Alną La Mantide, tylko Zitą Belamonte, wychuchaną córeczką sędziego. – Mruga sugestywnie. – Masz, bierz ile chcesz. Możesz nawet całość, bo pewnie jesteś splukana przez tę całą akcję. – Wskazuje głową na Basinę i podsuwa kasę w moją stronę. – Wydać tyle pieniędzy na obcą osobę. Jesteś jakaś – marszczy usta – nietypowa. – Wysypuje białą proszek na przegub dłoni.

– W najbliższym czasie już nikogo nie uratuję. Ostatnie pięćdziesiąt euro dałam taksówkarzowi.

– To skąd on cię wioził? – Zita pociąga nosem i wybałusza oczy.

– Wybiło dziesięć, ale dałam mu napiwek. – Wzruszam ramionami.

– On ma córkę w naszym wieku.

– No i?

– No i pewnie potrzebuje pieniędzy.

– Każdy potrzebuje – burczy Zita. – Pewnie z bliżej nieokreślonych przyczyn zrobiło ci się go żal, a przed oczami zobaczyłaś smutną historię jego życia – oznajmia z rozbawieniem. – Trochę cię już poznałam. Nie zaprzeczaj, na bank tak było. Na bank! Ta dobroduszość kiedyś wyjdzie ci bokiem. – Przechyliła głowę. – E tam, na zdrowie. – Stuka butelką w moją.

– Każdy mówi, że mnie zna. Szkoda, że ja nie mogę tego o sobie powiedzieć. Nie mam pojęcia, jaka jestem naprawdę. Boże, Zito. – Patrzę na nią. – Kim ja, do cholery, jestem?

– Zaczyna się – jęczy. – Czekać, otworzę wino.

# ROZDZIAŁ 2

## *Mephisto*

Zapinam ostatni guzik koszuli i wkładam marynarkę. Poruszam ramionami, licząc na to, że materiał nie będzie przylegał do pleców jak druga skóra, ale nic z tego. Wizja spędzenia kilkunastu godzin w tym kostiumie gentlemiana totalnie mnie osłabia. Duszę się, mimo że nie zawiązałem jeszcze krawata. Zgarniam z blatu golarkę i sunę nią po ryju, w międzyczasie poszukując w szafie eleganckich butów. Kątem oka rejestruję ruch w pościeli, więc podchodzę do łóżka i uderzam dłonią w mały, całkiem niezły tyłek.

– Zbieraj dupę – mówię, rozsiadając się na materacu.

Dziewczyna marudzi pod nosem, ale w końcu siada i rozpościera ręce. Prześcieradło, w które jest zaplątana, zsuwa się z ciała, ukazując naprawdę świetne cycki. Podskakują zachęcająco, gdy roztrzepuje włosy i jestem więcej niż pewien, że nie wykonuje tego gestu przypadkowo. Jestem, bo wiem, jak działa jej mózg. Pasywny organ. Wymarzony warsztat diabła.

Brak reakcji z mojej strony zapewne utwierdza ją w przekonaniu, że musi się bardziej postarać. Wstaje niespiesznie i pierwsze, co robi, to wkłada buty. Wzdycham nerwowo, bo cierpliwość nie jest moją mocną stroną, a działania te i tak nie przyniosą żadnego efektu. Moje ręce nie chcą ponownie zaciskać się na jej biodrach, a kutas nie podryguje z ekscytacji na myśl o ponownym zerznięciu jej szparek. Może kręcić dupą tuż przed moją twarzą, mieć na sobie same szpilki, jęczeć wymownie, schylając się po majtki, ale to niczego nie zmienia. Wziąłem już od niej wszystko, co miała do zaoferowania. Nie było tego dużo. Sam również dałem jej to, co mogłem. Nie było tego wiele.

– Ty to chyba musisz mieć buty szyte na zamówienie, co? – próbuje zagaić rozmowę, kiedy schylam się, żeby zawiązać sznurówki.

– Nie.

Wstaję i przeszukuję pościel, bo albo za słabo się stara, albo rzeczywistość nie może znaleźć swoich ubrań. W końcu dostrzegam jakąś błyszczącą szmatę.

– Ręce do góry – mówię, a ona uśmiecha się leniwie, gdy spełnia rozkaz. Pewnie myśli, że to część jakiejś erotycznej zabawy, ale muszę ją rozczarować. Nie po drodze mi z mundurowymi i nie podążam ścieżką prawa nawet na niby. Pomagam jej włożyć sukienkę i obracam plecami do mnie, żeby zapiąć suwak. – Gotowe. Miałaś torebkę?

Odwraca się w chwili, w której zerkam na zegarek.

– W nocy byłeś inny niż w świetle dnia. – Świdruje mnie wzrokiem, marszcząc cienkie brwi. – Miałaś bardziej przystępny sposób bycia.

– Jak myślisz, dlaczego?

– Nie wiem, bo byłeś bardziej zrelaksowany? Nie taki sztywny jak w tym momencie. – Zaciska dłoń na moim ramieniu. – Teraz jesteś spięty. Niby oddychasz, a jesteś jak zimny, twardy kamień. Dla porównania ja cały czas jestem miła.

Uśmiecham się. Jestem pewien, że litościwie. Naiwność wisi w powietrzu. Na szczęście jej opary są dla mnie jak tlen. W przeciwnym razie padłbym trupem. Gdzie się nie obejrzę, naiwniak naiwniaka popycha.

– Jesteś, bo na coś liczysz. Czegoś ode mnie chcesz. Ja już niczego od ciebie nie potrzebuję.

Otwiera usta, zamyka, znów otwiera.

– Czyli mnie oszukałeś! Udawałeś sympatycznego, żeby osiągnąć to, czego w danej chwili pragnąłeś.

– Nie, to twój mózg cię oszukał. Nie ja. – Wzdycham. – Zobaczyłaś na rogach – przykładam palce do skroni – napis: „Aniołek” i założyłaś, że nim jestem. To za mało, by nim być. Nie sądzisz?

Nie mam szansy poznać jej opinii, może i lepiej, bo odbijanie piłeczki to ostatnie, na co mam ochotę. Moja racja, twoja racja, przyczyna, skutek. Roztrząsanie tego w sytuacji, gdy zarówno ona, jak i ja dobrze się bawiliśmy jest kompletną stratą czasu. A głupotą natomiast oczekiwanie niemożliwego. Ona myślała, że przeciętne pieprzenie jest równoznaczne z „żyli długo i szczęśliwie”? Błagam. Dla takich dusz nie chce mi się nawet uchylać wrót piekieł.

Do pokoju wbiega mój piętnastoletni brat Vittorio. Jego ubranie ujebane jest krwią, a on sam zachowuje się, jakby emocje miały rozsadzić mu łeb. Podskakuje w miejscu, licząc zapewne, że w ten sposób rozpro-

wadzi je po całym ciele i pozbędzie się tego znanego mi aż za dobrze łupania w czaszce. Patrzy na dziewczynę, a następnie obdarza mnie błagalnym spojrzeniem.

– Nie chcę cię poganiać, ale... – zwracam się do niej, lecz nie jest mi dane dokończyć, dodać pożegnalnego, magicznego słowa.

– Oczywiście, że chcesz – fuka w odpowiedzi. – Odkąd wstałam, próbujesz chamsko się mnie pozbyć.

Vittorio przewraca oczami, słysząc to przepełnione przesadnym dramatyzmem wyznanie.

– Ale wiesz, co? Wyjdę stąd bardzo chętnie. – Zamaszystym ruchem otwiera drzwi, lecz odwraca się jeszcze, celując w moją stronę palcem. – Jesteś najmniej taktownym facetem, jakiego kiedykolwiek poznałam, a znam wielu – syczy. – I do tego kiepskim w łóżku. – Unosi hardo brodę. – To był najgorszy seks w moim życiu. Jesteś jak robot! Bezuczuciowa maszyna!

Trzaska drzwiami, chcąc dać upust swojej frustracji i pokazać, jak bardzo jest wzburzona. Takie zachowanie nie skłania mnie do żadnej refleksji. Gdyby przyknęła je cicho, być może poruszyłaby jakąś strunę. Hałas i chaos to moja codzienność. Spokój zawsze zastanawia. I intryguje. Bo go nie znam.

– Co się stało? – pytam, przyglądając się bratu.

Vitto pociera czoło przegubem dłoni. Nabiera powietrza, więc zaraz z jego ust wydostanie się seria bardziej lub mniej zrozumiałych słów. Obstawiam to drugie. Wyraz jego twarzy każe mi sądzić, że spóźnię się na ślub w rodzinie Selvaggio. I... i jest mi to totalnie obojętne.

– Przylecieli kokainowi turyści. Pojechaliśmy po nich na lotnisko Falcone-Borsellino, co nie? I ja jechałem w aucie z Casimirem. Dobrze, że było zatankowane. Nie wiem, kto o tym pomyślał, bo to moje zadanie, a zapomniałem wieczorem dotankować. W każdym razie super. Nie, żeby to jakoś pomogło, bo... – zaczyna się, więc obdarzam go ponaglającym spojrzeniem. – Rety, wzięliśmy takiego jednego grubasa i taką à la Chinke. – Wzrusza ramionami. – A Sisto resztę.

– Do rzeczy, Vittorio.

– To jak do rzeczy, to chodź ze mną. – Ciągnie mnie za rękę. – Musisz mi pomóc. No proszę – piszczy, więc idę za nim. Jest coraz bardziej nakręcony. – Wszystko było elegancko, ale w pewnym momencie ten tłuszcioch tak, kurwa, beknął... – Krzywi się z obrzydzenia. – A mówiłem

Casimirovi, żeby nie był taki zasadniczy. No, bo wiesz, to on kazał tucznikowi zapiąć pas, a kiedy zahamował, to coś tam mu się widocznie w bebach ścisnęło i tyle.

– Ile straciliśmy? – pytam, bo wiem, do czego zmierza ta historia.

– No i przez moment miał twarz, jakby go coś poraziło. Tak spięły mu się mięśnie. Zwarcie na stykach, a z jego ust zaczęła wypływać biała piana. – Wciąż nie puszcza mojej ręki, gdy prowadzi mnie schodami do jednego z pomieszczeń piwnicznych. – A ile straciliśmy to nie wiem, bo ja właśnie w tej sprawie. W sensie nie umiem z niego tego wydobyć. – Znów bierze głęboki oddech. – Przejeżdżaliśmy koło domu, Casimiro powiedział, że, zanim dojedziemy do magazynów, może rozpuścić się więcej towaru, ta kobieta zaczęła spazmować, więc mnie tu wysadził z tym zwłokiem, a chłopaki pomogli mi go wnieść. – Wskazuje na drzwi piwnicy. – I to bez sensu, bo ja tyle czasu ci to opowiadam, żeby wszystko było zrozumiałe, że na pewno już ktoś by z niego to wyciągnął w magazynie. A muszę jeszcze dodać, że zanim pobiegłem po ciebie, to pół godziny grzebałem w tym spaślaku.

– A gdzie Rufo?

– Pojechał z ojcem do banku po kasę, bo dziś jest ten ślub. – Zerka na zegarek. – Zadzwoń i powiedz, że się spóźnisz? To akurat potrafię. – Patrzy wyczekująco. – Tak to załatwię, że każdy będzie wiedział, że nie pojawisz się o czasie. – Szczerzy się i otwiera drzwi.

Na betonowym stole leży wspomniany przez Vittoria gość. Podpalam papierosa, bo z dwojga złego wolę smród dymu niż zapach krwi, którą wyczuwam coraz intensywniej, gdy zbliżam się do zaćpanego grubasa. Toksyny w niej zawarte naprawdę cuchną. Tak bardzo, że ma się wrażenie, jakby smród ten zmieniał jej konsystencję. Ludzie zapytani o to, jak pachnie krew, z reguły odpowiadają, że rdzawo, metalicznie. Jak dłoń, w której wcześniej trzymało się śrubki. Mówią tak, bo nie mają do czynienia na co dzień z tym, co przetacza się przez tysiące kilometrów tętnic, żył, naczyń włosowatych w płucach, skórze, mózgu. Jucha śmierdzi życiem. I śmiercią. Po tysiąckroć wolę swąd przypalanej skóry, bo on przypomina mi chociaż o przyświecającym mi celu. O tym, kim byłem i jestem.

Nadejdzie jednak dzień, kiedy ujrzę na rękach jedyną krew, której zapachu jestem ciekaw.

Krew tego, który stracił mnie do piekła.

Mogę mieć wiele twarzy, mieć poparzone stopy, ale nie kolana.

Nie klękam. Przed nikim. I nigdy.

Przyglądam się leżącemu przede mną typowi. Nie wiem, czy widziałem go wcześniej, ani jak długo u nas pracuje. Pracował. Czas przeszedł. I szkoda. Smutne to i przykre, i przepełnia mnie żal, bo czasu poświęconego na jego wykształcenie już się nie odzyska. Kilku życiowych prawd nawet diabeł nie podważy. Mianowicie: czas to pieniądz i nie zna się dnia ani godziny. Naciągam rękawiczki i zdejmuję marynarkę. Gdy odrzucam na bok koszulę, z ust stojącego za mną Vittoria wydobywa się cichy syk. Boli go to, co widzi, a ponieważ nie zdążyłem jeszcze rozpruć mojego pacjenta, nie mam wątpliwości, że to nie widok treści żołądkowych wywołał tę reakcję. Bywa. Kolejna niepodważalna prawda: ogień parzy. Woda parzy. I następna: białko tkankowe ulega nieodwracalnemu uszkodzeniu, gdy skóra ma styczność z temperaturą wyższą niż 55°C. Martwica, strupy, blizny. To nie tylko brzmi obrzydliwie. To autentycznie jest paskudne. I gdybym miał pokusić się o krótkie podsumowanie, a kuszenie to moja specjalność, powiedziałbym, że właśnie to szkaradztwo jest we mnie prawdziwe. Jest dokładnie tym, na co wygląda.

Zerkam na niewielkie, wykonane przez Vittoria nacięcie na brzuchu denata. Nie mam pojęcia, w czym grzebał przez wspomniane pół godziny, ale jest więcej niż pewne, że nie w żołądku. Sięgam po położony na metalowym wózku nóż sekcyjny o szerokim ostrzu, idealny do przecinania powłok i wykonuję dwa prostopadłe, głębokie cięcia. Otwieram jamę brzuszną, a Vitto nachyla się nade mną.

– Co to? – Wskazuje na żółtą ciecz, znajdującą się w jamie otrzewnej.

– Płyn surowiczy. Podaj nożyczki kulkowe.

– Zaraz rzygnę. – Beka, ale robi, co mówię. Rozcinam ścianę żołądka i wciskam do niego paluchy. Wyciągam pierwszą kapsułkę.

– Podstaw pojemnik – instruuję. Wrzucam do niego kolejne, wypełnione towarem zawiniątka. – Oczyszczyć je z błony śluzowej, krwi i dokładnie policzyć.

Zanim ściągnę rękawiczki, dla pewności jeszcze raz dokładnie sprawdzam, czy niczego nie pominąłem. Straty są wpisane w ten biznes, a sytuacje takie jak ta nie zdarzają się często. Pacjent miał po prostu pecha i trafił na źle zabezpieczony pakiet lub obzałł się w trakcie lotu. W obu przypadkach skutek jest taki sam, więc olać przyczyny. Poświęcanie energii na drobnicę, jaką przemycają muły, bo tak nazywamy przemyt-

ników, jest sprzeczne z moim systemem zarabiania kasy, dlatego tym na polecenie ojca zajmują się bracia. Osobiście wolę dwa dobre pierdolnięcia w roku. Większe ryzyko, większy zysk i więcej wolnych dni. Nie każdy jednak wie, jak się za to zabrać. Niewielu potrafi zorganizować niemożliwe, wybrać odpowiednie szlaki, przez które można przeprowadzić dużą ilość towaru, a w razie konieczności zareagować, gdy robi się gorąco i odbić w inną stronę. Nie wystarczy cechować się nieobliczalnością. To za mało. Trzeba nią być. A ja nią jestem.

Moja nieprzewidywalność jest zgubą moich wrogów. Obawiają się jej. Słusznie, kurwa. „Ha, ha”, słyszę w głowie. „Ha, ha, ha”. To normalne? No jasne! Szalone? W życiu! Co najwyżej nietypowe. To zapewne dlatego, że jestem taki w chuj wyjątkowy, ludzie trzymają się ode mnie z daleka. Ledwo usłyszą „diabeł”, a ich spanikowana dusza już siada na ramieniu, przytrzymując w drżących dłoniach trzęsące się portki. Boją się, że nabiję ich na widły lub uduszę ogonem, wrzucę do rozgrzanej kadzi. Kurwa, tak!

– Z czego się tak cieszysz? – Z zamyślenia wyrывa mnie głos Vittoria. Posyłam mu pytające spojrzenie. – Mieszasz w tych flakach i się szczerzysz.

– Kto? Ja czy ja? – Śmieję się, a Vitto stuka palcem w czoło.

– Ty to ty. – Przewraca oczami.

I tu się myli, ale nie ma co tego roztrząsać, płakać nad ogniem, który już się rozpałił, bo nie ma tyłu łez, żeby go ugasić. A co ważniejsze, pora kończyć operację, bo czas nie jest z gumy, a boruta na ślubie Selvaggiów nie zrobi się sama.

A chciałem, naprawdę miałem „szczerę” chęci, „dobre” intencje i popychany zewem „dobroduszości”, niczym halnym wiatrem, stawilem się wczorajszego wieczora w rajskiej chacie rodziny La Mantide, żeby załatwić swoją sprawę. Naszą. Moją i jej – Almy. I zgubiłem się! Trafiłem do jakiegoś ośrodka dla obłąkanych, a nie do jebanego raj! W zakładzie tym myślą, że gdy udaje się, że się kogoś nie zna, problem rozwiązuje się sam. W pewnym momencie zacząłem nawet grzecznie, z odpowiednią dozą nieśmiałości literować: N–A–Z–Y–W–A–M S–I–Ę M–E–P–H–I–S–T–O G–O–T–T–I, ale don Alfredo wciąż odgrywał gościa z radykalnie postępującą amnezją. Kurwa, serio nie chcę naginać faktów, ale to silniejsze ode mnie. Ściemę mam po prostu we krwi. Za chuja tak nie było. Mimo że najpewniej powinno.

Na pewno mógłbym cicho zapukać w drzwi, przedstawić się, poprosić o rękę jego najpiękniejszej, najbardziej niewinnej, tfu, naiwnej córki i zapewnić, że jestem w stanie oddać za nią swoją łapę, ale to się nie wydarzy. Nie, bo po pierwsze nie znajduję się na jakimś miłosnym haju i nie podziwiam w lusterku swojej świeżo wyhodowanej cipy, a po drugie jestem bardzo przywiązany do swoich łap.

W momencie, w którym machałem przed twarzą bossa La Mantide krwawym papierkiem, leśnym zobowiązaniem, nie byłem skłonny oddać za Almę nawet małego palca. Nie żeby ktoś tego ode mnie oczekiwał. Stary nie chciał niczego. Nawet nie próbował nic ugrać. NIC. Pierwszy raz w życiu poczułem, że coś tu, kurwa, śmierdzi i nie był to swąd przypalanej skóry. Odniosłem wrażenie, że to ja wyświadczam mu przysługę. Zwykle, gdy przybywam po to, co moje, zabieram to przy akompaniamencie mojego śmiechu i spazmów udręczonych, a nie wzdychających z ulgą dusz. Mógłbym pomachać mu przed nosem ulotką z supermarketu, a on i tak bez mrugnienia wepchnąłby córkę w moje piekielne ramiona. Zrobiłby to, gdyby wiedział gdzie jest, z kim i co robi. Nie miał jednak pojęcia, gdzie znajduje się moja mała, śliczna duszyczka, dlatego musiał się ze mną trochę pobawić. Nie mogłem opuścić jego domu niezadowolony. To tak nie działa. Zgubić duszę. To jest poważne?

– Słuchasz mnie? – Vitto szturcha mnie w ramię i wciska w dłoń mokry ręcznik. – Dzwoniłem do ojca. Powiedział, że masz absolutnie nie przyjeżdżać na wesele. I ja się z nim zgadzam, bo, gdy wparowałem do twojego pokoju, to byłeś spokojny, wiesz, nawet dla tej laski bardzo miły i miałeś te swoje wolne ruchy znudzonego słonia. A teraz już jesteś nakręcony i zachowujesz się jak nadpobudliwy goryl. Uśmieszysz się diabolicznie, w kółko przeciągasz i machasz łbem, jakbyś nie mógł się doczekać, aż komuś przypierdolisz. Weź zostań.

– Rozumiem. – Sprawdzam, czy dokładnie powycierałem ręce i sięgam po koszulę.

Vitto przygląda mi się wnikliwie.

– Czyli nie jedziesz?

– Oczywiście, że jadę. Wyglądam ci na takiego, za którego trzeba podejmować decyzje? – Uderzam go w potylicę. – Słoń ma twardą skórę, Vitto, ale gwarantuję, że to nie on, ale właśnie impulsywny goryl zostanie królem tej płonącej dżungli. – Wkładam marynarkę.

– Ale z ciebie diabeł. – Brat uśmiecha się szeroko. Odwzajemniam się

tym samym, przykładając palce do skroni i idę w stronę drzwi.

Dwanaście lat temu, gdy byłem w wieku Vittoria, umarłem. Po to, by jeszcze tej samej nocy narodzić się na nowo. Spopieliłem się jak wytatuowany na mojej kłacie Feniks, którego odbicie codziennie widzę w lustrze. Wtedy też po raz pierwszy nacisnąłem na spust. Ojciec zawsze powtarzał nam, że uwolnienie dziewiczego naboju naznacza na zawsze, a dziurawa dusza szczęśliwca, który przyjął kulkę, od tej pory zawsze jest pół kroku za nami. Depcze nam po piętach. I o ile nie pomylił się w pierwszym przypadku, to w drugim już tak. Za mną nikogo nie ma. Ta dusza jest we mnie. I kocham ją w chuj. Tę dziurawą duszę.

Vitto jest całkowitym przeciwieństwem mnie, gdy byłem w jego wieku. Zadbalem o to. Wytresowałem każdego diabła, mieszkającego w naszym domu. Cały rząd dusz. A to, że żyją oznacza, że treser ze mnie zacny. Dawno temu przekonałem się, że na życie w piekle trzeba zasłużyć. Nie każdy ma szansę, żeby powstać z martwych. Ja ją dostałem. Dlatego z determinacją pcham tę kulę ognia i dbam o to, żeby mój łeb był wystarczająco zryty. A może wcale się nie troszczę, nie staram nadto, tylko on już taki jest? Ha, ha. Jedno z dwóch.

Wychodzę z piwnicy i mrużę oczy osłepiony słonecznym blaskiem. Od kilku dni urzędujemy w naszej katańskiej rezydencji z racji tego, że jest bliżej ogrodu, w którym odbędzie się wesele Selvaggio i La Mantide. W tej posiadłości okna nie są zasłonięte ciężkimi, nieprzepuszczającymi światła dziennego kotarami, w drzwiach nie ma metalowych zasuw, nie śmierdzi olejem parafinowym, z żadnego kominka nie bucha ogień. Tu jest dziwnie.

W holu spotykam drugiego brata, młodszego ode mnie o trzy lata Sista.

– Dlaczego tu jest tak zimno? – Krzywi się i energicznie pociera ramiona. – Młody dalej babra się w mule? – Sisto wiecznie zadaje tysiąc pytań i jak mniemam sam odpowiada na nie w myślach, bo nigdy ich nie ponawia, gdy nie uzyskuje odpowiedzi. Nie inaczej jest tym razem. Zawsze więc odpowiadam tylko na te, na które chcę. – Dzwonił ojciec i powiedział...

– Że absolutnie mam się nie pojawiać na weselu. – Wybucham śmiechem. – Spakowałeś mój łuk?

– Się wie. Zabierasz tylko swoich pancernych, czy sługusów też?

Mianem pancernych określamy ludzi ochraniających mi plecy. Strzegą,

żeby nikt się do nich nie zbliżał. Cechują się ponadprzeciętnym refleksem i opanowaniem. Jedynymi, którzy dotykają moich pleców są bracia. Robią to, bo muszą. I chociaż mają ciary podczas wklepywania kremów i maści, pilnuję, by nie zamykali oczu. Nie dlatego, żeby poczuć satysfakcję z ich zakłopotania czy poczucia winy. Każdy z nich ma obowiązek dbać o swoją historię. Po prostu. I zapamiętać raz na zawsze, kurwa, że kolana służą do walenia nimi w zdradzieckie mordy. Nie do klękania!

– Bierzemy. Kilku z rzędu „A” i dwa złotka.

W naszej rodzinie wszyscy żołnierze poddawani są starannej, regularnej selekcji. Wydobywanie najbardziej rozżarzonych węgielków, czyli najskuteczniejszych sługusów zasilających rząd „A” to zadanie Sista. Każdy chce znaleźć się w tej kolumnie, a ci, którzy już w niej są, robią wszystko, żeby się w niej utrzymać. Nie tylko dlatego, że mogą liczyć na najlepsze wynagrodzenie. Powodem jest też to, że podczas gorących akcji nie są na pierwszej linii ognia. Zawsze osłaniają ich ci z rzędu „B”, czyli tak zwane mięsko. Z czasem każdy węgiel się wypala, to naturalna kolej rzeczy. Eliminacją tych, które nie dają już satysfakcjonującego ciepła, zajmuje się kolejny z braci, Casimiro. Największy mruk w rodzinie, z którym łączy mnie tylko jedno. Obaj mamy pierdolca na punkcie krwi. On naprawdę ją kocha. Może zaciągać się jej wonią bez końca. Nigdy nie ma dość. Dla mnie jest nieodłącznym elementem codzienności, ale jej nie znoszę. Bo śmierdzi. Złotka z kolei to żołnierze mieszkający w naszym domu. Tylko oni mogą szwendać się po rezydencji i zaglądać w każdy, nawet najciemniejszy kąt. To ludzie, którzy nie raz udowodnili swoje bezgraniczne oddanie. Członkowie rodziny, z którymi nie łączą nas więzy krwi. Szaleńcy kochający piekło.

– Wiedziałem, że to powiesz. – Szczerzy się i poprawia krawat. – Już zapakowali się do puszki. Będą jechać za nami. Po drodze zgarniemy Nadię.

– Ona nie jest mi do niczego potrzebna – oznajmiam.

– Całe, kurwa, szczęście – mówi pewnie, dźgając mnie palcem w klatę.  
– Odgryzłeś jej koniuszek języka! I to tylko dlatego, że chciała cię pocałować! Wiesz, ile czasu musiałem ją przekonywać, że jestem jednym z tych dobrych braci, zanim porządnie otworzyła usta?

– Bronilem się, jasne? Powiedziałem jej, że całowanie odpada. Nie wyraziłem na to zgody. Ona chciała mnie wykorzystać.

Przecieram twarz ręką, żeby zetrzeć z niej uśmiech niewspółgrający

z tragizmem mojej smutnej historii.

– Aleś ty biedny – obrusza się Sisto i wyciąga z kieszeni telefon. – Casimiro napisał, że już po ślubie. Mamy od razu jechać na przyjęcie. Czekał, zadzwonię do niego.

Odchodzi, a ja idę do kuchni, umyć porządnie ręce, bo wciąż czuję zapach lateksu i smród krwi spaślaka.

Szoruję dłonie drucianą myjką i potrząsam barkami, chcąc pozbyć się uciążliwego napięcia. Myśl, że lada moment ponownie zobaczę te wielkie, brązowe, wpatrujące się we mnie, jakby zobaczyły coś, czego szukały całe życie, oczy sprawia, że mam ochotę wyć do księżycy i machać z radości diabelskim ogonem. Prędzej lub później, obstawiam to drugie, Alma uświadomi sobie, że nie jestem, nie byłem i nigdy nie będę kimś, kogo szuka i naprawdę potrzebuje. Do tego czasu będzie się ślinić i ugaaniać za przynętą, bo spowity oparami naiwności mózg zawsze widzi tylko ją. Opary te mają to do siebie, że w wyniku różnych czynników i zdarzeń w końcu wyparowują. Nie spędza mi to snu z powiek i nie boleję nad tym szczególnie. Nie, bo gdy to się dzieje, jest już za późno. Każdy łowca dusz wie, na co nabija się przynętę. W tym właśnie tkwi haczyk.

– Nie no, nawet nie będę pytać, bo wiem, że to prawda! – Sisto wpada do kuchni, wrywa mi z rąk kuchenny ręcznik i uderza nim o blat stołu, jednocześnie furiacko podskakując. Unoszę brwi. Robię tak za każdym razem, gdy ktoś zachowuje się niedorzecznie. Czasem wręcz odnoszę wrażenie, że w naszej rodzinie jestem jedyną stabilną, racjonalnie zachowującą się osobą. To oczywiście tylko odczucie. I jest ono mylne. – Kiedy ty w końcu zrozumiesz, że jesteś Diabłem, a nie Bogiem! – furczy.

– Kontynuuj.

– Byłeś wczoraj w domu La Mantide?

Aaa, o to chodzi.

– I powiedziałeś don Alfredowi, że nie wyjdiesz, dopóki odpowiednio cię nie ugości? Że zabawianie gościa to obowiązek gospodarza?

Nie odpowiadam. Tak jak wspominałem, Sisto tego nie oczekuje.

– Uderzałeś kijem do krykieta w jego nogi i wrzeszczałeś: „Niech stanie się jebaniutki cud! Powstań, gdy żąda tego tropiciel dusz!”. Serio?

– Kiedy to opowiadasz, brzmi to równie zabawnie. Idziemy. – Ruchem głowy wskazuję na drzwi. Ruszam przed siebie, a brat biegnie za mną.

– Dla ciebie to jest zabawne? – sapie.

– Nie wiem, co jest z tobą nie tak, skoro uważasz inaczej – rzucam

z rozbawieniem. – Nie potrafię uleczyć twojej niewesołej duszy. – Rozkładam bezradnie ręce.

– A konsekwencje? Co z nimi?

Chowam dłonie do kieszeni, a Sisto się cofa. Niby mnie zna, a jednak nie do końca. Gdybym naprawdę chciał zrobić mu krzywdę, uwięzienie rąk w kieszeniach na pewno by mnie nie powstrzymało. Na razie od czuвам po prostu dyskomfort, małą chęć wytłumaczenia oczywistości inaczej niż słownie.

– A co, bolą cię już kolana? Może język od lizania cudzych butów? Dłonie od składania ich w błagalnym geście? A nie piecze cię coś tak kurwisko w środku? – Uderzam pięścią w tors, a on kręci głową. – Powinno. – Podchodzę do niego i wciskam kciuki w jego spłot trzewny. – Wszystko popękane. Wielkie, kurwa, nic. – Cmokam. – To, co miałeś najcenniejszego, spierdoliło przez tę dziurę. – Poklepuję go po klatce.

– Możesz mówić po ludzku, a nie po diabelsku?

Śmieję się gorzko.

– Po ludzku oznacza to, że już jej nie masz, Sisto. Twoja godność osobista zrobiła „puff”. – Wykonuję dłońmi gest eksplozji. Brat otwiera usta, ale nie chce mi się go słuchać, więc kontynuuję, zanim cokolwiek powie. – Nie pytaj, co z konsekwencjami. Zapytaj, jak to jest chodzić wyprostowanym. Odpowiem ci wtedy, że to naprawdę piękne uczucie. Nawet – unoszę palec – jeśli nie będziesz oczekiwał odpowiedzi.

Wychodzę z domu i przywołuję Galla. Moje najcenniejsze złotko. Człowieka, który podczas aresztowania i maglowania go przez karabinierów, pamiętał jedynie, jak się nazywa. Jego pamięć nie okazała się lepsza nawet wtedy, gdy roztaczali przed nim wizję krótszej odsiadki. Każdy, kto ma wyobraźnię i świadomość, w jakich realiach żyje, wie, że najbardziej należy obawiać się wyroku, jaki organizacja wydaje na kapusiów. Zawsze jest on taki sam i brzmi: „Śmierć”. Nie uchronią przed nim nawet najwyższe mury, bo służba więzienna cierpi na euro ślepotę. Im więcej kasy, tym mniej widzą. Lojalność z kolei oznacza życie. Dobre życie. A ta idzie w parze z zaufaniem. Nie tylko my musimy ufać pracującym dla nas ludziom. Oni nam również. Dzięki comiesięcznym składkom, które rodziny organizacji wkładają do wspólnego skarbca, możliwe jest wymknienie się z macek systemu. Ręka rękę myje. Wystarczy jedynie wiedzieć, czyją należy wyszorować w danym momencie. To nie spluwa ma największą moc sprawczą, lecz banknoty emitowane

przez Europejski Bank Centralny.

Gallo podchodzi do auta i otwiera drzwi od strony kierowcy. Patrzy na mnie.

– Dzwonił twój ojciec i powiedział...

– Tak, tak, słyszałem to już – przerywam mu. – Tyle razy, że nawet gdybym był ułomem, na bank już bym zrozumiał. A ponieważ nim nie jestem... – Rozkładałam ręce. – Wsiadaj.

Sisto ładuje się na tylną kanapę.

– A ty, co robisz? Wyskakuj. – Wyszarpuję go z wozu.

– Ale jak to? Jeszcze dziesięć minut temu mieliśmy jechać razem. Ja bym tak wołał.

– Dziesięć minut temu nie miałem ochoty usiąść z tobą z tyłu i gdy nabierzemy prędkości, otworzyć drzwi i cię wyjechać. Teraz mam. Piszesz się na to?

– Nie. – Uderza pięścią w dach.

Zajmuję fotel pasażera, a Gallo rusza z podjazdu. Wystukuję palcami nieznany rytm, uderzając nimi o uda, bo czuję kumulującą się energię, wprawiającą w drżenie każdy mięsień. Znam kilka skutecznych sposobów na jej rozładowanie, na wskazanie drogi ujęcia, ale żaden w tej chwili nie wydaje się w punkt. Nie, bo jedyną osobą, którą mógłbym teraz zabić, jest Gallo. A jedyną dupą, którą mógłbym zerznąć, jest również, no cóż, dupa Galla. Chyba musi wyczuwać unoszące się w powietrzu agresywne napięcie, bo mówi:

– Możesz wałnąć czołem w deskę rozdzielczą. To twoje auto. – Wzrusza ramionami. – Zatrzymać się?

Chyba dostrzega w moich oczach ten niemy krzyk, ponieważ od razu parkuje na poboczu, niemal wjeżdżając na pole obsadzone krzewami winogron. Wyskakuję z samochodu, a po przebyciu kilkudziesięciu metrów wydzieram się tak głośno, że wydaje mi się, jakby pod wpływem wibracji owoce same miały pospadać z krzaków. Od razu mi, kurwa, lepiej. Do czasu, aż odwracam głowę i zauważam, za kim podąża spojrzenie opierającego się przedramionami o dach Galla. Obok naszego auta przebiega dziewczyna. Nie byle jaka, bo moja. Pędzi, jakby ją sam Diabeł gonił, a przecież nawet nie ruszam się z miejsca. Nie wiem, jaki ma cel, ale najwyraźniej, jest na nim bardzo skupiona. Na tyle, że nie rozgląda się na boki, tylko biegnie przed siebie, niemal potykając się o własne nogi, które mam wrażenie, że wyprzedzają resztę jej ciała. Idę w stronę wozu,

jednocześnie patrząc na to oddalające się w pośpiechu nieszczęście.

– Wiesz, że właśnie przebiegła koło nas twoja żona? – Przy ostatnim słowie robi cudzysłów palcami. – Albo ktoś bardzo do niej podobny. Taka mocno styrana wersja. – Przeciera czoło przedramieniem. – Całkowite przeciwieństwo lasek, które sprowadzasz do domu. Inna planeta.

– Masz rację.

Wsiadamy z powrotem do auta. Na twarzy Galla maluje się niezrozumienie.

– Mam rację? – Dziwi się. – To po co w ogóle zawracasz sobie nią głowę?

– Odpowiedzią są dwa ostatnie wypowiedziane przez ciebie zdania twierdzące.

– Wyczuwam pieprzone kłopoty.

– Taa. – Szczerzę się.

Jestem na nie gotowy, bo skutki problemów, rozgrywających się na arenie nazwanej rajem nie napawają mnie trwogą. O jakich zmar-twieniach mowa? Mało puszysty, niebiański obłoczek naiwności, czy inna bzdura. Kłopoty w raju. Coś takiego w ogóle istnieje?

Być może powinniśmy zawrócić i zobaczyć, czy to pędzące indywiduum nie nabiło sobie guza, ale nie zostałem obdarzony genem troskliwości. Mało tego, bawi mnie towarzyskie *faux pas*, jakie bez wątpienia będzie jej udziałem. Mniej zadowolony jestem z tego, że stwarza mi konkurencję. A wiadomo, co się z nią robi...

Gallo parkuje przed bramą wjazdową. Teren, na którym odbywa się przyjęcie, oświetlony jest kiczowatymi lampkami. W zamyśle działanie to pewnie miało na celu stworzenie jakichś pozorów romantyzmu. Ktoś, kto wpadł na ten pomysł, musi mieć kolorowo we łbie. Nie muszę nawet wysiadać, żeby widzieć, że atmosfera na przyjęciu znacznie odbiega od zamierzeń. Gdy tylko wystawiam nogę z auta, czuję tę wiszącą w powietrzu nerwowość. I... i zaczyna mi się tu podobać!

– Myślałem, że to będzie przyjęcie z pompą – stwierdza Gallo, a ja odwracam głowę, żeby na niego spojrzeć. – Dlaczego tu jest tak mało osób?

– A czyj to ślub?

– No Efesta i Etny.

– W jego towarzystwie można wytrzymać godzinę. Może dwie, jak jest się głuchym. Nikt o zdrowych zmysłach go nie ogarnia. Wiesz, czym on torturuje ludzi?

– Czym?

– Rozmową, kurwa. – Śmieję się, a Gallo stuka palcem w czoło. – A Etna, no cóż, to kwintesencja słowa kłopot. – Przecieram twarz. – Gdybym miał dziewczynę, która najpierw robi, a potem myśli, strzełbym do niej z łuku.

Chyba że miałyby najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Wielkie i brązowe. Wtedy, zanim rzuciłbym się w pościg, dałbym jej trochę czasu. Powiedziałbym: „Mała, uciekaj. Gdziekolwiek. Najdalej”. A nie, to nie działa. Mówiłem jej to w leśnej chacie i za nic nie chciała skorzystać z podyktowanej dobrocią mojego serca rady. Nie przemawia do mnie argument, że była związana. Węzeł bramszotowy stosowany w dawnych czasach do wiązania liny na harpunach jest odporny na szarpanie i z każdym gwałtownym ruchem zaciska się mocniej, ale, do diabła, ona nie jest wielorybem, tylko lekką duszą!

Wyciągam z bagażnika łuk. Przewieszam go przez ramię i czekam, aż dołączą do mnie pancerni, Auro i Aris. Przy wejściu do ogrodu weselnego stoją ludzie Efasta. Podążają wzrokiem za małolatem, krążącym nerwowo tam i z powrotem po usłanej płatkami kwiatów ścieżce. Mamrocze pod nosem i zapisuje coś na kartce, co jakiś czas postukując długopisem o brodę. Gdy moje plecy są już odpowiednio chronione, ruszam w stronę bramy. Dołączają do mnie ludzie z rzędu „A”, którzy dojechali przed momentem, a Gallo dotrzymuje mi kroku.

– Więcej was matka nie miała? – rzuca ze śmiechem człowiek Selvagiów. Zdaje się, że to Bernardo, ale ręki nie dam sobie za to uciąć.

– Miała, ale ojciec spalił – odpowiadam.

Jeszcze głośniejszy śmiech. Też rechocze, bo fakt, że on uważa to za żart, autentycznie mnie bawi.

– No, kurczę blade – mamrocze małolat. Przystaje przy nas i zatrzymuje wzrok na moim łuku. – Mogę dotknąć?

– Nie, do cholery – oburzam się. – To tak, jakbyś zapytał, czy możesz pomacać mi fiuta.

Na jego twarzy pojawia się pieprzony rumieniec.

– Ale – kontynuuję i unoszę palec – możemy pobawić się w chowanego.

Gallo pokasłuje. Zerkam na niego, lecz zakrywa oczy dłońmi. Nie wiem, jak interpretować ten gest. Są dwie opcje: „Nie chcę na to patrzeć” lub „Tak! Zabawa w chowanego jest super!”. Obstawiam tę drugą.

– A na czym polega ta zabawa? – dopytuje chłopak.

– Co z tobą? – Uderzam go w potylicę. – Nigdy się w to nie bawiłeś? Jak sama nazwa wskazuje, musisz się schować, a ona będzie szukać, dopóki cię nie znajdzie.

– Jaka ona? – Zdezorientowany rozgląda się dookoła.

– On ma na myśli strzałę, Francesco. I nie, to się nie wydarzy. Nie na moim weselu.

Zerkam w stronę, z której dobiega głos. Efesto opiera się ramieniem o pień drzewa. Krążące o nim pogłoski, jakoby potrafił zjeść nawet najlepszą zabawę, okazują się faktem. Przywołuje mnie ręką, sugerując, żebym wszedł na teren ogrodu, ale małolat Francesco widocznie sądzi, że znalazł sobie nowego przyjaciela. I jestem nim, kurwa, ja. Odpalam papierosa.

– Ocenisz mój wiersz? – pyta Francesco. Krztuszę się, a Efesto wybucha śmiechem. – Dym wyszedł ci uszami.

– Oceni, oceni – wtrąca rozbawiony Efesto, ale po chwili poważnieje. – Zrób to. Nie chcę od ciebie koperty, tylko to, kurwa, zrób. – Znów się śmieje, ale trwa to dosłownie chwilę, bo nie tylko ja zauważam biegnącą w naszą stronę Etnę. Za nią pędzi Niccolo. Efesto zaciska usta i kładzie na nich palec.

Na pierwszy rzut oka widać, że dziewczyna ma misję do spełnienia. I coś czuję, że odgrywam w niej ważną rolę, bo biegnie ze wzrokiem wlepionym w moją skromną osobę i furią wypisaną na twarzy. Na szczęście, oczywiście dla mnie, gdy przebiega obok swojego świeżo poślubionego męża, ten łapie ją za rękę i przyciąga do siebie, przyciskając dłoń do jej ust. Dobry ruch. Etna czerwienieje z emocji, miota się wariacko, ale postanawiam zaryzykować i do nich podejść, mimo że naprawdę szalenie się boję. Ponownie, na szczęście dla mnie, Efesto szepcze jej coś do ucha. Coś na tyle uspokajającego, że dziewczyna postanawia wziąć się w garść, nie zachowywać jak obłąkana i co najważniejsze, nie zagrażać mojemu życiu. Ha.

– Próbowałem ją dogonić – sapie Niccolo. – O, cześć. – Wystawia rękę w moją stronę. – W końcu coś się zadzieje, bo ona – wskazuje na Etnę – widocznie postanowiła nic nie odwalać na swoim weselu. Wieje nudą. – Macha ręką z rezygnacją, gdy przygląda się swojej bratowej, a ta z kolei wlepia wzrok we mnie.

– Nie patrz tak, jakbyś mnie znała – mówię, na co tupie nogą, żeby

dać upust narastającej z niewiadomych przyczyn frustracji. – Gdzie twoja siostra?

– Nie twoja sprawa – warczy. – Albo i twoja. Powiem ci. – Na jej twarzy pojawia się cwany uśmiech. – Almy nie będzie. Wyjechała do Francji ze swoim wymarzoną mężczyzną. – Unosi hardo brodę.

– Jak to możliwe, skoro jestem tutaj? – Śmieję się, a ona zaciska pięści. Efesto zamyka ją szczelnie w swoich ramionach.

– To co z tym moim wierszem, ocenisz?

Odwracam się. Francesco macha kartką przed moimi oczami.

– On? – dziwi się Etna. – Jestem pewna, że nawet nie będzie potrafił go zinterpretować. To nie ten typ, Francesco. – Patrzy na mnie buntowniczo. – Wiesz, kim jest ten chłopak? – zadaje mi pytanie, wskazując na małolata. – To ukochany Almy. Romantyk. Pisze dla niej wiersze i wykonuje różne rzeczy z papieru.

Och, kurwa.

– To jest miłość. Powinieneś brać z niego przykład. Rozumiesz?!

– Nie. – Wzruszam ramionami.

– Nie miałeś odpowiadać na to pytanie! – Frustratka podskakuje w miejscu. – Nic. Nie. Mów.

– No dobrze, to zaczynam. – Francesco chrząka. – Wiersz mojego autorstwa. Nadałem mu tytuł: „Papierowa dziewczyna”.

– Ale piękny tytuł, Francesco. Jesteś najlepszy! – emocjonuje się Etna, a chłopak się rumieni. – Najromantyczniejszy mężczyzna na Ziemi!

Żył na skroni Efesta podryguje w chaotycznym tańcu. A proponowałem, pobawmy się z Franceskiem w chowanego, to „nie, w życiu, to się nie wydarzy, no coś ty, cóż to za diabelski pomysł!”.

– Ciekawe, czy jest też najlepszy w spierdalaniu przed szukającą go strzałą – syczy Efesto do ucha Etny. – Nie przeginaj, kotku, a ty – obdarza Francesca ostrym spojrzeniem – czytaj już ten jebany wiersz.

Francesco wytrzeszcza oczy, ściera przedramieniem pot z czoła i poprawia okulary. Nabiera powietrza, czyta:

– Narysowałem ją ołówkiem z zaostrzonym czubkiem. Wyciąłem starannie, wymarzoną pannę. Nie ma oczu ani ust, toż to, kurczę blade, cud. Nie wystawi nigdy mnie, bo w dłoni trzymam nożyczki swe. Jeden nierozważny ruch – wtedy przetnę ją na pół.

Cisza. Cisza. Cisza.

– Powiesz coś? – pyta niemrawo Etna.

– Miałem się zamknąć – odpowiadam.  
– Jednak coś powiedz, dobra?  
– Co chcesz usłyszeć? – Uśmiecham się do niej. – Słowo Diabła – kładę dłoń na kłacie – że posłucham twojej rady i wezmę przykład z Francesca. Zresztą – przechylam głowę – jakby się tak nad tym głębiej zastanowić, wiesz, odpowiednio zinterpretować, to jestem jednym wielkim chodzącym romantyzmem. Wprawdzie wycinanki to nie moja bajka i w dłoni nie trzymam nożyczek, tylko strzałę, ewentualnie szpikulec do lodu – mrugam do niej sugestywnie – ale, jak ty to powiedziałaś? To jest miłość.

– Świetny wiersz, Francesco – wtrąca Efesto i patrzy na mnie znacząco. – Sugerujący, że jesteś właściwym wyborem. – Akcentuje ostatnie słowo i uwalnia Etnę z uścisku. Rusza przed siebie, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Poeta, kurwa.

– Tak, super. – Niccolo unosi kciuk. – *Creepy*, ale tylko trochę. Tyle, co nic. – Śmieje się pod nosem i biegnie za bratem.

Etna wpatruje się we Francesca, jakby widziała go po raz pierwszy.

– Francesco. – Zaczyna. – Ty jesteś jakiś, jakiś wyjątkowo... – jąka się. Pewnie szuka właściwego słowa, więc postanawiam jej pomóc, bo nie taki diabeł straszny, jak go malują. Nachylam się nad jej uchem.

– Romantyczny – rzucam krótko, a ona warczy i unosi rękę, bo zapewne sądzi, że stoi przed nią chłopiec do bicia.

– Nie radzę ci robić tego, co planujesz.

– Bo co mi zrobisz? – Podchodzi bliżej. – Dziś jest moje wesele.

Ona w ogóle mnie nie zna.

– Uważasz, że w tym dniu nożyczki są mniej ostre? Nie – odpowiadam za nią, bo się zapowietrzyła. – Moje rogi też takie nie są, więc schowaj, kotku – celowo używam tego określenia – pazurki.

– Współczuję mojej siostrze. – Drży jej broda.

– Ja też. – Przystawiam palce do skroni. – Ja też – powtarzam, gdy sieprza w podskokach. – Ja też!

Gallo wybucha śmiechem, a przestraszony Francesco tkwi w miejscu. Chyba zobaczył Diabła we własnej osobie. Wpatruje się we mnie, potem zerka na moich towarzyszy i też ucieka. Co jest z tymi ludźmi?!

Niespiesznie ruszamy za nimi, aż w końcu docieramy do ustawionych w kwadrat stołów. Pierwszą znaną mi osobą, jaką zauważam jest Alfredo La Mantide. Przejeżdża przez parkiet, a gdy nasze spojrzenia się krzy-

żują, nabiera prędkości, najeżdżając kołami na stopy podrygującej w tańcu kobiety. Już wczoraj odkryłem, że jest ponury i kompan do zabawy z niego marny. Liczyłem, że dziś da się poznać z innej strony, ale już spierdolił.

Przy stole starszyny siedzi ojciec, więc pędzę do niego, bo kto zrozumie syneczka, jak nie tatuś. Zachodzę go od tyłu i poklepuję w ramię. Odchyła głowę i rzuca sztućce na talerz.

– Mówilem, że masz nie przyjeżdżać! – Zawsze to samo i jest to już nudne. Na szczęście za jakiś czas zagramy w grę wymyśloną przeze mnie. Będzie ciekawa, bo jej zasady będę znał tylko ja. Ha. – Czego chcesz? – warczy.

– Przyszedłem się poskarżyć. – Uśmiecham się pod nosem.

– Co? – Marszczy brwi.

– Nikt nie chce się bawić. Każdy ucieka. – Szarpię go za ramię. – Tato, zrób coś! Każ im się ze mną bawić! – Sięgam po cukierka. Mieszam ręką w misce, bo nie mogę znaleźć czerwonego. – Nawet truskawkowa lاندrynka spierdoliła. No, tatooo – jęczę przeciągle.

– Wesoło masz z tym twoim synem. – Selvaggio się śmieje.

– Wesoło to dopiero będzie, jak przejmie po nim stołek – mówi z powagą Rufo. Prawa ręka ojca. – No, ale nie ma co się martwić na zapas – pociesza sam siebie. – W naszym świecie wszystko potrafi wywrócić się do góry nogami w jeden dzień i...

– Nie do końca się z tobą zgadzam – przerywam mu. Na twarzy Rufa maluje się niezrozumienie. Kiwam palcem. Chcę, żeby wstał, zbliżył się, bo to, co powiem, jest przeznaczone tylko dla jego uszu. – Godzina. Tyle potrzebuję, żeby piekło stało się bardziej gorące.

Ściera pot znad górnej wargi, a ja poklepuję go po ramieniu i wybucham śmiechem.

– Ale masz minę, kurwa, człowieku, ja jestem Diabłem. Nie wierz mi!

Śmieje się nerwowo i siada. Teraz będzie się zastanawiał, czy mówiłem poważnie, czy jednak nie. W końcu stwierdzi, że sprzedałem mu jakiegoś farmazona i będzie spał spokojnie.

Do czasu aż go obudzę.

Macham ręką, jednocześnie witając się i żegnając, bo uświadamiam sobie, że zapomniałem o tym pierwszym. I co? I nic. Prawo Diabła.

Podchodzę do stołu, przy którym siedzą młodzi. Krążę tam i z powrotem, poszukując kartki ze swoim imieniem. I ach, ta moja wrażliwość! Z trudem powstrzymuję cisnące się do oczu łzy, gdy zauważam,

że mam miejsce w jego najodleglejszej części. Najbliższe towarzystwo znajduje się w odstępnie pięciu krzesłach ode mnie. Pięć krzesłach. To ma być ta magiczna granica oddzielająca dobro od zła? Ech, te naiwne dusze. Piekło nie ma granic, a jeśli ma, ustalę je ja.

Patrzę na boki w poszukiwaniu Galla, który, jak się okazuje, rozgościł się na amen i nawet nie potrzebuje do tego swojego krzesła. Jemu wystarczy talerz. Wkładam palce do ust i gwizdę, żeby go przywołać. Przepycha się między tańczącymi na parkiecie ludźmi.

– Nawet smaczne żarcie – stwierdza, gdy podchodzi. – Co, któryś z nich – wskazuje na stojących za moimi plecami pancernych – chce iść to kibla? Czy mam jakieś inne arcyważne zadanie w dniu, kiedy obiecałem mi wolne? – Wzdycha.

– Zorientuj się, gdzie siedzi Alma. Posadź nas naprzeciwko. I daj mi kluczyk od auta. Zapomniałem o kopercie.

– Wiem, gdzie jest jej miejsce. Już to sprawdziłem.

Uśmiecham się. Właśnie dlatego jest moim złotkiem. On jest w pracy zawsze.

– I załatwię, co trzeba. – Unosi kciuk. – Słowem lub czynem. – Mruga i wciska mi w rękę kluczyk, patrząc tak, jakby mnie znał. I coś w tym, kurwa, jest.

Wyciągam z kieszeni telefon i ruszam w stronę parkingu, w międzyczasie włączając nawigację, bo droga do raju jest kręta, a dokładnie tam zamierzam się udać.

– Łap ją! – krzyczy Aris, ale zanim zdążę ogarnąć, co lub kogo, to coś zderza się ze mną i pada u mych stóp.

Dusze bywają spóźnialskie, piękne i, kurwa, fajtłapowate! Robię krok w tył, bo niebo właśnie się rozstało.

– Moje kolana! Jakim trzeba być palantem, żeby...

Chwytam ją za ramiona i unoszę. Jest lekka jak piórko. Mówiłem, lekka dusza. Syczy z bólu, sapie, przeciera nerwowo nos, aż w końcu unosi wzrok. I cisza. Nie słyszę oddechu, mimo że jej klatka piersiowa unosi się w szaleńczym tempie. Patrzy na mnie, jakby jednocześnie ziścił się jej najpiękniejszy sen i najstraszniejszy koszmar.

Jestem przekonany, że moje spojrzenie wyraża to samo. Kropka w pieprzoną kropkę.

Nie chce być inaczej, gdy widzę te wielkie, brązowe i... zaćpane oczy.

Chowam ręce do kieszeni, bo jej podrygująca krtań niczym magnes

chce przyciągnąć dłoń Diabła.

Nachylam się, czuję chłód jej policzka.

– Nigdy nie klękaj przed demonami – szepczę.

Kurewsko się trzęsie.

I wzorowo klęka.

Mephisto  
Copyright © Agnieszka Kalicka

Copyright © Wydawnictwo Inanna  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover photo by Lightfield Studios/Adobe Stock  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2021 r.

książka ISBN 978-83-7995-598-5  
ebook ISBN 978-83-7995-599-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski  
Redakcja: Katarzyna Chojnacka-Musiał  
Korekta: Paulina Gruszecka  
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski  
Projekt okładki: Agnieszka Zawadka  
Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak  
ul. Kormoranów 126/31  
85-432 Bydgoszcz  
[sekretariat@inanna.pl](mailto:sekretariat@inanna.pl)  
[www.inanna.pl](http://www.inanna.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach  
[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)  
[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)

Romantyczna, zabawna, pikantna.  
Seria, którą pokochały Polki!

**#ROMANSWSPÓŁCZESNY #GORĄCYROMANS**



 Inanna

Kup książkę

MUZYKA. PRZYJAŹŃ.  
MIŁOŚĆ. KINGS OF SIN

#ROMANSNEWADULT  
#ROMANSMUZYCZNY



To nie jest prosta romantyczna opowieść o namiętnej miłości nieśmiałej dziewczyny i gwiazdy rocka. Ta seria wciągnie cię od pierwszej strony!

**#romansmuzyczny #romanswspółczesny**



 Inanna

[Kup książkę](#)

Mury Irkalli drżą.

Inanna, sumeryjska bogini miłości i wojny, przez wieki znana była pod wieloma imionami. Teraz usiłuje żyć jak zwykła śmiertelniczka, ale jej spokój niweczy wiadomość, której nie może zignorować.

**#urbanfantasy #polskafantastyka**



 Inanna

[Kup książkę](#)